

50
1969
UNIwersYTET
PRZYRODNICZO-HUMANISTYCZNY W SIEDLCACH
Lat



41 KONKURS
LITERACKI
LIMESU
utwory nagrodzone i wyróżnione

ISBN: 978-83-7051-907-0

**Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny
w Siedlcach
Uczelniany Ośrodek Kultury**

**41 Konkurs Literacki
LIMESU**

utwory nagrodzone i wyróżnione

Siedlce, 2018

Wydawca:
Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny w Siedlcach
Uczelniany Ośrodek Kultury

ISBN: 978-83-7051-907-0

Konkurs odbywa się pod patronatem Prezydenta Miasta Siedlce.

Impreza promocyjna zorganizowana
przy życzliwej współpracy
Domu Pracy Twórczej „Reymontówka” w Chlewiskach

Zbiorek wydano dzięki pomocy finansowej
Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej w Siedlcach



Okładka, koncepcja graficzna i typograficzna, skład:
©Jolanta Szymczyk

PROTOKÓŁ
z posiedzenia Jury
41 Konkursu Literackiego „Limesu”
Siedlce, dn. 19.09.2018 r.

Jury w składzie:

1. Waław OSZAJCA -przewodniczący
2. Krzysztof TOMASZEWSKI
3. Sylwia FLIS
4. Jolanta SZYMCZYK
5. Tadeusz GOC - sekretarz
6. Roman BOBRYK

po rozpatrzeniu nadesłanych prac w kat. poezji i prozy oraz kat. „student” postanowiło przyznać;

W kat. prozy:

I Nagroda – godło „Formalina” – Anna Piliszewska

II Nagroda - godło „Kumak” – Magdalena Cybulska

**II Nagroda - godło „Anabelle” – Agnieszka
Magierska**

W kat. poezji:

**I Nagroda - godło „Lisica” - Katarzyna Wiktorina
Polak**

**II Nagroda - godło „Pieśni kalekujące” – Anna
Piliszewska**

III Nagroda - godło „Kama” - Bogdan Nowicki

W kat. „student”

**Nagroda - godło „Mentorka 2018” - Justyna Paulina
Laszczyk**

Wyróżnienie - godło „Kar” - Karol Radzikowski

Wyróżnienie - godło „Luliraj” – Wiktoria Bodzioch

Ponadto Jury zauważyło prace opatrzone godłami: Gniewosz - Tadeusz Charmuszko, Dworzyn - Piotr Dworzyński, Koń - Tadeusz Dejnecki, Oczy Beatrycze - Adam Bolesław Wierzbicki, RR - Radosław Rybak, Stróż - Maciej Ostaszewski, Helikon - Anna Kokot, Dym - Bronisław Krzysztof Jakubowski, Motyl - Anna Plaskowska, Ogień - Andrzej Liczmonik, Bezchmurze - Wanda Gołębiwska.

Podpisy Jury

(na oryginale protokołu)

Przez chwilę szczęśliwi

To znaczy - jacy? Parafrazując cyniczne, choć niepozabawione sensu, powiedzenie Piłata, można rzec: Cóż to jest szczęście? Wbrew pozorom, odpowiedź wcale nie jest prosta. Podobnie ma się rzecz z pytaniami o wspomnianą już prawdę, o miłość, o piękno i dalej o człowieka, i o boga. O naszej bezradności wobec tych, a pewnie i wszystkich innych poważnych pytań, świadczy nauka i sztuka. Wygląda jednak na to, że i te sposoby oglądania świata i opowiadania o nim, to za mało. Trzeba jeszcze czegoś więcej. W odnalezionym w latach osiemdziesiątych eseju pt. „Jezus ośmieszony” autorstwa prof. Leszka Kołakowskiego, czytamy: „Przynajmniej dla części wielkich problemów ludzkości nie ma rozwiązań czysto technicznych czy organizacyjnych, że wymagają one tego, co Jan Chrzciciel nazwał metanoją, przemianą duchową. A tej przemiany z definicji nie można wywołać w sposób techniczny. Polega ona na uznaniu, że korzenie zła są w nas. W każdym z nas, zanim wrosną w instytucje i doktryny. Łatwo to powiedzieć, nie lubimy powtarzać takich banałów, zwłaszcza że bardzo trudno kierować się nimi w życiu”. Ale wracajmy do naszego szczęścia.

Profesor Władysław Tatarkiewicz zostawił nam cały traktat „O szczęściu”, w którym twierdzi, że człowiek szczęśliwy jest zawsze człowiekiem co najmniej trochę smutnym. Paradoks? Oksymoron? Niekoniecznie. Przecież nawet na pogrzebie śpiewamy i gramy, przynosimy kwiaty, patrzymy na twarz zmarłego, co może, choć nie musi, świadczyć o przekonaniu, że nie do śmierci należy ostatnie słowo. Jednak to dziwne, ale w naszych strywalizowanych czasach, kiedy nawet największe zło ulega banalizacji, są jeszcze ludzie, którzy mają odwagę z powagą podchodzić do ludzkiej doli i niedoli. Na przykład Anna

Piliszewska. W zakończeniu poematu „Pieśń o śmierci dziada” mówi:

Pochowano śpiewaka pod klonem,
By szumiały mu listki zielone,
By śpiewały wam, bo tak wypada,
O miłości i śmierci dziada.

Także lira korbowa,
Stara, ale jak nowa,
Porzucona przy grobie,
Zaśpiewa tobie.

Przy mogile, przy nucie dziadowej,
Poklękajcie poczciwi ludkowie!
Poklękajcie, bo pieśnią was żywił,
Byście byli przez chwilę szczęśliwi.

Jego lira korbowa,
Stara, ale jak nowa,
Choć nikt korbą nie kręci
Gra dla jego pamięci!”.

Do Anny Piliszewskiej dołącza Justyna Paulina Laszczyk. Czytając jej, poniżej przywołany wiersz, naraz przypomniałem Władysława Broniewskiego i jego wiersz bez tytułu z cyklu poetyckiego „Anka”, poświęconego nagle zmarłej córce. Krytycy mówią, że ten cykl można zestawić z trenami Jana Kochanowskiego. W ostatniej zwrotce wiersza zaczynającego się od „Anka! to już trzy i pół roku” Broniewski mówi:

„Na Powązkach ośnieżona mogiła,
brzozy coś mówią szelestem...

Powiedz, czyś ty naprawdę była,
bo ja jestem...”.

W innym wierszu pt. „Na uboczu” Broniewski mówił o sobie, że jest „materialistą dziejowym”, ale gdy siądzie sobie „na uboczu”, czyli zostanie sam na sam ze sobą i swoją dołą-niedolą, to staje się tylko słowem, płaczącym słowem. Co zapewne znaczy, że jego materialistyczne podejście do rzeczywistości, w zderzeniu z miłością do córki, którą śmierć mu zabrała, ten jego światopogląd wystawia na ciężką próbę. I oto po latach Justyna Paulina Laszczyk, studentka, przedstawicielska następnego pokolenia poetów, podejmuje temat Broniewskiego. Co prawda z innego powodu, w innych życiowych okolicznościach, ale czy utrata kochanego nie jest po części umieraniem.

„Już nawet nie wiem i nie
Chcę wiedzieć na co przyszedł czas
Bo już, na wszystko,
Zdecydowanie
Za późno.

Myślałam, że bez Ciebie może
Będzie lepiej.

Ale przyszedł ten smutek, którego
Nie potrafię jednak bez Ciebie okiełznać.

Który dociska mnie mocno do ziemi i boli...

... jeśli potrafię na dawny ból spojrzeć bez ukłucia ciernia w
sercu
to sobie z nim
poradziłam?

Czyli
Nie”.

Dużo by o tym wierszu mówić, podobnie jak o wierszu Broniewskiego, można by pokazać, w jak przedziwny sposób nastrój emocjonalny ich utworów wpisuje się w nastrój mistyków takich jak choćby Faustyna Kowalska czy Zdenka Schelingova. Nic w tym dziwnego. Dzieje się tak z prostego powodu. „Sztuka to najwyższy wyraz samoświadomości ludzkości”, mówi Józef Czechowicz. A jeśli już mowa o mistykach, to trzeba powiedzieć, że prawdziwy mistrz jest zawsze realistą. Podobnie można mówić o innych twórcach, jako że „Dzieło sztuki – mikrokosmos odbijający epokę”. Więcej, dzieło sztuki jest ponad epokowe.

W tym miejscu, spośród wierszy nadesłanych na konkurs, trzeba przywołać „Pokot” Katarzyny Wiktorii Polak. Wiersz nawiązuje do filmu Agnieszki Holland pod takim samym tytułem, ale nie jest tylko komentarzem do filmu. Stanowi samoistny utwór. Przez to nawiązanie do innej dziedziny sztuki odsłania się przed nami chyba najgłębszy sens kultury - dialog. Twórcy i ich dzieła prowadzą niekończącą się dysputę, której, o dziwo, sprzyja nawet czas. Ta rozmowa dzieje się przez tysiąclecia, stąd niezmiernie pocieszające są te momenty, kiedy do grona dialogujących podchodzą nowi twórcy. Przynoszą oni przecież to nowe, co dopiero teraz zaistniało. Nowe potworne i nowe piękne.

„pokot

duma i dymy
roznieconych palenisk.

trąbka zwodzi, uwodzi, a córka
myśliwego ma rozszerzone oczy,

utkane
z niebiańskich nici, z pulsu źródeł, promieni.

łza dziewczynki jest czysta
- zmywa moje
przekleństwo - zawisa jak jasny kryształ
nad chorągwiami świętego Huberta...”.

W świetle tego wiersza na nowo jawi się słynne zdanie wypowiedziane przez Myszkina w „Idiocie” Dostojewskiego: „Piękno zbawi świat”. Piękno, ale jakie? W odniesieniu do sztuki, w tym zwłaszcza do poezji, najbardziej odpowiednie będzie to piękno, które syntetyzuje w sobie przeciwieństwa, w którym schodzą się ze sobą granice nieba i piekła, jak w oczach córki myśliwego z wiersza Katarzyny Wiktorii Polak. Ale czy przypadkiem nie jest to czcze marzenie ściętej głowy, zabawa w słowa, nadinterpretacja, czy wreszcie poznawcza i religijna herezja? Znowu niekoniecznie. Dowód? Otóż mamy taką instytucję, która, co by o niej nie powiedzieć złego, swoje istnienie zawdzięcza słowu i to pisanemu dużą literą: „A Słowo stało się ciałem i zamieszkało między nami”. To Słowo, czyli według chrześcijan Bóg, który stał się ciałem, czyli człowiekiem, ośmieliło swoich wyznawców do takich karkołomnych stwierdzeń.

W Wigilię Paschalną w kościołach katolickich usłyszymy starodawny hymn Exultet i takie słowa: „O, zaiste konieczny był grzech Adama, który został zgładzony śmiercią Chrystusa! / O, szczęśliwa wino, skoro ją zgładził tak wielki Odkupiciel!”, a po wiekach papież-poeta Karol Wojtyła zapytał: „Jak uczynić widzialnym, jak przeniknąć poza granice dobra i zła?”. Tym niewidzialnym, które poeta chce unaocznić, jest początek i kres wszystkiego, całej rzeczywistości. Po odpowiedź Jan Paweł II

odsyla do fresku Michała Anioła „Sąd Ostateczny” w Kaplicy Sykstyńskiej. A więc do sztuki.

Podobną próbę, przekroczenia widzialności i odsłonięcia jej podszewki, widzę w wierszu Bogdana Nowickiego pt. „Fala”.

„Rzeka wylewała co roku.
Mieszkańcy zrobili wał z brezentowych
Chmur wypełnionych piaskiem.

Starcy zbierali z obejść różne gruchoty i
Zawiązywali supeł na koszulach, aby o sobie
Nie zapomnieć.

Matka chodziła na szczudłach,
Wstrzymywała oddech i czekała,
Kiedy zupa spłynie poza brzegi stołu.

Wtedy nadjeżdżali strażacy W gumowych
Kombinezonach,

Potężne reflektory
Kroiły nieprzeniknione,
Zbliżające się w kierunku naszego domu”.

Mamy tu opis powodzi, która bez względu na wielkość i tragizm, jest zjawiskiem może niecodziennym, ale zwyczajnym, naturalnym. Po prostu zdarza się, ale w wierszu staje się zobrazowaniem czegoś, co ją przekracza i prowadzi do „nieprzeniknionego”. Tym samy wyprowadza człowieka z ciasnej klatki czasoprzestrzeni, i nie lekceważąc prawdy o niej, prowadzi człowieka poza wszelkie horyzonty poznawcze.

Wiersz „Fala” nie zostawia jednak człowieka samego przed owym „nieprzeniknionym”, a przeciwnie, przez nagromadzenie

i pomieszanie możliwego i niemożliwego, próbuje podpowiadać czytelnikowi, że to, co jest nie do przeniknięcia przez nasz umysł i serce, nie musi być fantasmagorią, ale może mieć sens. Co więcej, poeta podpowiada, czego w tym spotkaniu możliwego i niemożliwego może się spodziewać; Tego samego, co już jest i zarazem tego, co będzie, i będzie czymś zupełnie innym, nie tracąc przy tym tożsamości. Po prostu, taka jest logika poezji, sztuki w ogóle.

Rozstrzygnięcie naszego konkursu i ogłoszenie wyników odbywa się jesienią i na dobrą sprawę ten fakt można potraktować jako bożonarodzeniowy podarunek np. krótka proza poetycka Magdaleny Cybulskiej zaczynająca się od „Wdrapywali się na Wzgórze Ślimaka”.

„Wdrapywali się powoli na Wzgórze Ślimaka. Wczesna zima. Poprzetykana gawronami i suchymi badylkami. Szorstka w dotyku. Czas się kurczy. Zaraz będzie jak czerwony owoc róży. Samotna grusza strzepuje z siebie resztki nieba. Wschodzą kule jemioly. Poletka mają gęsią skórkę. Ziemia usypia. Jej brązowe sny są pełne nasionek, pędów. piór. Biała kapliczka w dole. Jak plamka śniegu. Pierwsza lub ostatnia. *Panta rhei* - trudno mi w to uwierzyć. Bo ja utknęłam. Wrosłam w przestrzeń. Jak kamień. Mam szarą skórę, pokrytą porostami. W oddali psy szczekają już świątecznie”.

Krajobraz, który przemierzają wchodzący na górę, dla podmiotu lirycznego, być może dla Magdaleny Cybulskiej również, jest całym światem, kosmosem, w który ona sama wcieliła się bez reszty. To wszystko razem balansuje na granicy życia i śmierci, widzialnego i niewidzialnego, możliwego i niemożliwego, dobrego i złego. Jedyńm dźwiękiem w tej krajobrazowej głuszy to szczekanie, świąteczne szczekanie psów.

Tym stwierdzeniem autorka pointuje utwór i zarazem kwestionuje zastrzeżenia, jakie zgłasza pod adresem heraklitejskiej kosmogonii. Pointa to klucz do zrozumienia przesłania utworu, stąd piekąca potrzeba dowiedzenia się, na czym polega owa świąteczność psiego szczekania. Ale to już jest kłopot pisarza lecz czytelnika.

Wiersz staje się poezją, artefakt dziełem sztuki, dopiero wtedy, gdy w amatorze sztuki - od *amo* - Kocham, a nie od amatorszczyzny - obudzi nowego twórcę-artystę, który zacznie snuć swoje opowiadanie, swój wiersz, którego nigdy nie opublikuje, który zacznie nucić swoją pieśń, której nikt nie usłyszy, który zacznie malować swój obraz, którego nikt nie ujrzy, ani nie kupi, i zacznie tańczyć swój taniec nieuchwytny dla cudzych oczu. Myślę, że nikt się nie obrazi, jeśli powiem, że artyści to takie właśnie psy - zwierzaki wierne, ale zawsze swobodne. Może dlatego wierne? A życie, to *theatrum dei* na scenie *theatrum mundi*.

Wacław Oszajca



Babka Amazonia

- Chodź! Teraz!!!, bo niedomknięte.
- Dobra!
- Buba, ruszamy, cisza! I nie stawaj na schodek, o właśnie ten. I tamten! - większość skrzypi jak diabli.
- Nie rozumiem, dlaczego zabraniają nam wchodzić?
- Bo ona jest zmęczona, chora, a może... martwa!
- Dlaczego?
- Bo jest tak stara... Tak strasznie stara, jak... automobil naszego proboszcza.
- Rolls proboszcza jest trupem.
- Więc babunia umarła?
- Drzwi! Uważaj, Buba, na paznokcie, nie wsadzaj ich w tę dziurę, bo jak przeciąg zatrzaśnię, masz bankowo po palcach...
- Ty nie boisz się zmarłych?
- Nie wiem...
- Ciii!
- Patrz, jest tam! Na poduszkach . Głowę ma jakoś dziwnie... Może kto jej ukręcił?
- E tam, opadła na bok...' Podejdź bliżej ostrożnie.
- Ma półotwarte usta. Zobacz - czubek języka taki suchy i siny... No i świecą jej zęby.
- To nie zęby, to plomby!
- Boję się.
- Lepiej zobaczmy, co tam zaciska w palcach?
- To mapy i fotografie.

- A! Z Brazylii, no jasne! Lecz na co jej te rzeczy, jeśli wie, że odchodzi? Tam, w niebie, przecież nie ma żadnej Amazonki, ani jakichś badaczy, ani deszczowych lasów, ani trujących żab...

- Nie ma?

- Weź to lusterko, głupia, leży na nakastliku ... Tak. I podsuń pod usta!

- Czemu?

- Sprawdź, czy oddycha. Nie widziałas na filmie?! Tak się właśnie to robi. Fachowo.

- Rety! Ruszyła okiem.

- Nie ruszyła.

- Ruszyła. Babciu, obudź się, babciu!!!

- Buba, przestań, co robisz! Cicho siedź, bo nas znajdą.

- Babciu, babciuuu Amazonio, obudź się, obuuudź! Buuu, buuu...!!!!

W imię Ojca, dziewczynki!!!! Co mówiłam?! Że macie zakaz wchodzenia do babci! Ja mówiłam: na dole się bawić lalkami! Lalkami!!!! I nie wchodzić do babci, absolutnie nie wchodzić!!!!

- Znowu chowaj ą kogoś...

- Odlóż tę tacę z kuflem, nalej kieliszek wódki i w try miga go zanieś do drugiego stolika. I popraw wreszcie muszkę. Hans, obciągnij uniform. Ciągłe gapisz się w okno!

- Grają. Umarł ktoś ważny. Nikt by byle łachudrze tak nie trąbił na trąbce.

- Grają dla Amazonii. To stara Amazonia spakowała walizki...

- Wyniosła się do Pana badać lasy deszczowe i dzikie ludy Piraha nad wieczną Amazonką w swej podniebnej Brazylii...



- Pięknie grają dla starej babki Amazonii...

- Tak, tak...

- Nadal pamiętam, jak przeszłego roku memu świętej pamięci ojcu puścili przez głośniki jakieś trzeszczące dzwony. Z taśmy. Z magnetofonu! Dzwoniło i dzwoniło. Ryczało na cały cmentarz. Niosło się nawet dalej - poprzez wszawę podwórka, długo, we wszystkie strony. Jeden z drugim mógł myśleć, że tak głośno mu dzwonią mężczyźni wystrojeni w stylowe, czarne garnitury, w pelerynach zdobionych złotą taśmą, we frędzlach. Że z wieżycy kościoła. Dobrze, że tak myśleli...

- Teraz jest nowoczesność...

- Ano.

- Chowają szychę.

- Babkę Amazonię. Królową! Nikt by byle łachudrze nie zatrąbił, doprawdy ...

- Szlag! Nie cierpię prasować !

- Przeciąg targa firankę - zamknij wreszcie to okno.

- Słyszysz? Marsze żałobne...

- Tak. Zmarła ta wiekowa babka Amazonia...

- Ta, co była w gazecie i w Brazylii?

- Ta sama.

- To ona jeszcze żyła? Posłuchaj, jak pięknie trąbią...

- Bo ona była kiedyś królową miasteczka. Wtedy, kiedy uciekła wielkim samolotem z małą grupką wariatów. Znaczy jakichś... badaczy - durnych i nawiedzonych. Jej mąż miesiąc z siekierą wysiadywał na strychu, żeby pierwszy zobaczyć, jak wraca. I urąbać jej głowę. Ale wyszło inaczej. Nie wróciła tak prędko, jak sądzono po cichu. Dopiero po trzech latach...

Tymczasem zazdrosny stary machnął piękne bliźnięta takiej jednej Rozalii, więc nie latał z siekierą, tylko niańczył dzieciaki. A stolica uznała wybitne zasługi tych kopniętych wariatów. Przyznano im nagrody, medale, takie tam... duperszwance. Były zdjęcia w gazetach. Wtenczas babkę nazwano Wielką Amazonią...

- Wyjdź na balkon. To oni!

- Kto?

- No, żałobnicy. Widać czoło konduktu.

- Ho, ho! Całe miasteczko kupą ciągnie na cmentarz.

Pięknie trąbią, przepięknie! Wielka babcia umarła...

- Dobre ciasto. Naprawdę. Czy długo się męczyła?

- Ile wieniec, Gertrudo?

- Kto zamieszka na górze, w pokoju po babce?

- Trzeba będzie gruntownie to piętro wysprzątać. Tyle starych papierów. Te mapy, te wykresy, te poruszone, zżółkłe fotografie - śmierdzą.

- Starością?

- To możliwe, chociaż bardziej stęchlizną.

- Jest też sporo słoików. Z eksponatami - węże, jakieś jaszczurki. W formalinie.

- Szaleństwo. Czyste szaleństwo! Babka była szalona i całkiem niepraktyczna. Nie sposób wykorzystać tych zatrutych słoików na kompoty czy dzemy - trzeba wszystko wyrzucić.

- Są jeszcze jej dzienniki... Z tonę waży to draństwo.

- Dobra, pomogę spalić. Może w przyszłym tygodniu?

- Smaczne bezy. Szczególnie te z orzechową masą.

- I sznyce po wiedeńsku.



- I śledziowa sałatka.
- Jak drogo wyszła trumna?
- Sporo... Ale z rządowej kasy.
- Zapłaciła stolica?! Ho, ho!
- Była wszak zasłużoną.
- Babka... była królową. Amazonią - legendą!
- Kosa spadła i koniec...
- Ciach!
- Tak. Legenda umarła...
- Zostawiła po sobie ten makabryczny inwentarz – w słojach!
- Żaby w spirycie, idiotyczne wykresy. Śmieci...
- Tyle dziadostwa...
- Czy mogę zabrać złoty order babki Amazonii? Oczywiście nie dla mnie, lecz dla małej Amalii.
- Ile jest wart ten order?
- Wiesz, to oburzające, chcesz wyceniać rodzinną pamiątkę?! Wstyd i grzech. Zresztą zostanie dla was sporo innych drobiazgów...

- Węże, żaby w spirycie, idiotyczne wykresy. Śmieci. Kupa dziadostwa...
- Tylko tyle jej przyszło z tej przeklętej Brazylii.
- Ciociu, można się bawić tą suszoną jaszczurką?
- Bądź grzeczna, bo babcia właśnie z nieba się na ciebie patrzy.
- To babcia poszła do nieba?
- A może jeszcze nie doszła?
- Może jej duch tu krąży? Wśród nas tu, w tym pokoju?
- Buuu - buuu...



I nagroda - Anna Piliszewska



- Ciszej, Buba się boi!
- Odeszła graniu trąbek...
- Z aniołami?.
- Do raję?
- Do podniebnej Brazylii?
- W drogęj trumnie.
- Na cmentarz!



Świąteczna kartka

Osiemdziesiąte urodziny Nillsa Gustavssona zbliżały się wielkimi krokami. Cała rodzina była zaangażowana w organizację urodzin seniora rodu, zarezerwowano hotel nad Sognefiordem, zamówiono tort urodzinowy w najlepszej bergeńskiej cukierni, zadbano, by na uroczystości nie zabrakło licznych przyjaciół jubilata. Nills, stary listonosz był niezwykle serdecznym powszechnie lubianym człowiekiem, wprost ukochanym przez wszystkie maluchy z rodziny i ich znajomych. Z uwagi na śnieżnobiałą brodę, rumiane policzki i wydatny brzuszek, zwany był przez nie Julenissen¹. Miał zwyczaj, aby każdą rodzinną uroczystość, zwłaszcza swoje urodziny przypadające 6 grudnia, celebrować wspólnym oglądaniem starych norweskich pocztówek świątecznych. Dzieci przychodziły wraz z rodzicami, którzy przynosili różne smakołyki. Wszyscy chętnie świętowali w towarzystwie rodziny i przyjaciół.

W hotelowej recepcji od rana było gwarno. Co kilkadziesiąt minut przyjeżdżali goście, witali się serdecznie z już przybyłymi. Mielśmy zarezerwowane wszystkie pokoje na te kilka grudniowych dni - jakiś zjazd rodzinny. Wśród wesołych powitań słychać było podniecone pytania o jakiegoś Julenissena. Święty Mikołaj już 5 grudnia, nie za wcześnie?

- Witaj, Johannie! Jak podróż?

- Dzień dobry, Eriko! Jechało się przyjemnie, dziękuję. Nie wiesz, czy Anna przywiozła już Julenissena?

¹ Julenissen - norweski odpowiednik Świętego Mikołaja.



- Niestety nie, moja Brigit wprost nie może się doczekać - odpowiedziała sympatyczna blondynka.

- Będę czuwał i dam znać, gdy przybędą.

Tuż po południu w drzwiach pojawił się On, wypisz wymaluj Święty Mikołaj, Julenissen, właściwie to Nills Gustavsson, bo na takie nazwisko zarezerwowano mu apartament. Gdy zobaczyłam tego sympatycznego staruszka od razu zrozumiałam, że ten dziwaczny przydomek nie jest zbiegiem okoliczności, trudno nazywać tego człowieka inaczej. W chwilę po zameldowaniu długo wyczekiwanego gościa na recepcji rozegrała się scena spontanicznej radości porównywalna chyba tylko ze zwycięstwem w Pucharze Świata w skokach narciarskich. Ze wszystkich zakątków wbiegli członkowie rodziny Julenissena, od kilkulatków po statecznych emerytów.

- Julenissen, kochany jubilate? cieszymy się, że jesteś z nami!

- Spójrz, twój przyjaciel Peter również przyjechał!

- Dziadku Mikołaju, psywiołeś sksaty? - sepleniąc, spytała pięcioletnia Brigit, która co kwadrans przybiegała na recepcję, by spytać czy Julenissen już przyjechał.

- Tak moja maleńka - czule odpowiedział senior.

W dniu urodzin Julenissena wszystko przebiegało jak należy, hotelowa restauracja przygotowała specjalne menu, w którym królowała dzicyzna, ulubione przysmaki całej rodziny. Tort przywieziony z Bergen był nie tylko przepyszny, ale także dekorowany figurkami świątecznych krasnali, na które wszyscy dorośli goście spoglądali z nostalgią w oku i z tajemniczymi uśmiechami, a dzieci z radością. Julenissen otrzymał wiele



prezentów symbolizujących przywiązanie bliskich do staruszka. Były wśród nich albumy, stare pocztówki z całego świata i mnóstwo laurek od najmłodszych. Atmosfera była przepełniona radosną świąteczną serdecznością, jedynie maluchy spoglądały na Julenissen, jednoznacznie czegoś oczekując. Wreszcie najśmielsza z nich, Brigit, wdrapała się na kolana jubilata, objęła go za szyję i przymilnie spytała:

- Julenissenie, pokazes nam wreszcie swoje klasnale? - pozostałe dzieci spoglądały na nią z wdzięcznością w oczach.

- Oczywiście, że tak, to nasza rodzinna tradycja. Chodźcie do mnie, dzieci. Johannie, podaj mi, proszę, ten album.

Johann podał seniorowi stary album, który pamiętał jeszcze z dzieciństwa, kiedy tak jak teraz Brigit i inne maluchy z radością podziwiał stare norweskie pocztówki świąteczne. Dzieci usiadły przy kominku obok fotela, w którym siedział ich rodzinny Święty Mikołaj. Julenissen prezentował swoją kolekcję, opowiadając o dawnych zwyczajach, niekiedy pytał starsze dzieci o różne szczegóły, aby włączyć je do rodzinnej rozrywki. Wśród najmłodszych słyhać było westchnienia podziwu, nieco starsze dzieci zadawały pytania o niezrozumiałe dla nich rzeczy.

-Jakie piękne!

- Dziadku, a dlaczego na tak wielu kartkach widać prosiaczki? - dociekał ośmioletni Olaf.

- Mój drogi, te świnki to zapowiedź powodzenia i dostatku w nadchodzącym roku. Dawniej w Norwegii panowała bieda i mięso jadano tylko w wyjątkowych sytuacjach.

W tej miłej rodzinnej atmosferze obejrzano kolekcję seniora niemal do końca. Na ostatniej stronie albumu znajdowała się najstarsza, najpiękniejsza i najcenniejsza kartka.



Niestety, znikły z niej krasnale!!! Pozostały trzy puste miejsca po ulubieńcach.

- Ojej!

- Dziadku, co się stało?!

- Nie wiem - ze smutkiem w głosie odparł Julenissen

Na twarzach wszystkich zagościła konsternacja. Najmłodsze dzieci załżały się łzami. Nieliczni tatusiowie popatrywali na siebie zmieszani. Jubilat posmutniał i postarzał się o kilkanaście lat. Nad rodzinę nadciągały czarne chmury! Zaginione postaci jako jedyne znały przepis na rodzinne przysmaki - lukrecyjne cukierki i gorzałkę. Postanowiono przerwać uroczystość i położyć rozżalane dzieci do łóżek, a następnie zastanowić się, co począć.

Następnego dnia po rodzinnej naradzie „Tylko dla dorosłych” Oskar, najstarszy wnuk Julenissena ukrył się w swoim pokoju z albumem dziadka, aby przeprowadzić poważną rozmowę z młodszymi krasnalami. Nie jest to takie proste ponieważ w pierwszej kolejności należy ożywić postaci z pocztówek. Oskar znał jednak związany z tym sekret Julenissena, wystarczy rozweselić skrzaty, łaskocząc ich stopy. Wyciągnął różowe piórko z opaski do włosów, która należała do wieczornej garderoby jego dziewczyny - Na pewno mi wybaczy - pomyślał i zabrał się do dzieła. Wrażliwe na łaskotki krasnale zaczęły wierzcąc nogami i piszczeć aż w końcu wyskoczyły z kartek świątecznych.

- Stary, pozwól odpocząć, niedziela jest! - warknął Maruda.

- Jak możesz tak traktować sędziwych starców, młody człowieku - z wyrzutem rzekł Mędrek.



- Zawsze myślałem, że najstarsi są Cynamonek Imbirek i Kardamonek... - odparł Oskar robiąc minę niewiniątka.

- A widzisz ich gdzieś tutaj?!

- Właśnie, Mędrku, nie wiesz, gdzie się mogli podziać?

- Na początku myśleliśmy, że Dowcipniś naszykował im jakąś niespodziankę, ale przysięgał, że nie...

... w dodatku Podglądacz widział niedawno takiego obdartego dziadka, który rozmawiał z Imbirkiem w jakimś dziwnym szwargoczącym języku.

- Imbirek mu tłumaczył, że nie może czegoś powiedzieć, że to najpilniej strzeżony krasnali sekret, ale ten się upierał.

- Myślmy, że to ten gość wywiózł naszych przyjaciół.

- Zaraz, to Podglądacz widział, co się święci i nic z tym nie zrobił?! .

- Wiesz jaki on jest, zawsze tylko obserwuje. A my zdołaliśmy się jeszcze dowiedzieć, że ten intruz miał koszulkę z napisem „Kocham Lublin”.

- To takie miasto w Polsce, stąd ten szwargoczący język - dodał przemądrzale Mędrak. - Odnajdziecie ich?

- Zrobimy wszystko, by do nas wrócili.

- Nie jest dobrze, kochani.

- Czego się dowiedziałeś?

- Prawdopodobnie zostali uprowadzeni i wywiezieni do Polski przez człowieka, który chciał poznać przepis.

- To niedobrze, musimy ich ratować.

- Oczywiście, najlepiej będzie znaleźć kogoś z Polski, chyba znajdzie się tam ktoś, kto jest inteligentny i dyskretny.

- Poszukam w sieci.



Po kilkugodzinnych poszukiwaniach znaleźli człowieka do zadań specjalnych - Mateusza Sandomierskiego z Gdyni. Na jego oficjalnej, profesjonalnie napisanej stronie przeczytali wprawdzie niewiele informacji, ale na forach zachwyceni klienci (ukryci pod dziwnymi nickami) wysławiali talent detektywa amatora, który zajmuje się sprawami nietuzinkowych, takimi, z którymi nie chodzi się do zwyczajnego prywatnego detektywa. Specjalizuje się w odnajdywaniu starych, niekiedy legendarnych artefaktów, o których słyszeli tylko nieliczni specjaliści. To jedyna nadzieja na odnalezienie skrzatów! Zwracając się do niego o pomoc, bliscy Julenissena sporządzili wyczerpujący raport na temat przyjaznych krasnali i ich tajemniczego zaginięcia, dołączyli fotografię pocztówki, z której zniknęły skrzaty i rysopis domniemanego porywacza. Dzielnego Polaka nie dziwi żadne zlecenie, więc przyjął i te.

Tymczasem gdzieś na Lubelszczyźnie, w starej wiejskiej chacie leciwy bimbrownik prosił, błagał, straszył i... nic nie mógł wskórać. Dzielne norweskie skrzaty nie wyjawily przepisu na lukrecjówkę. Zdesperowany zaczął się zastanawiać nad realizacją swoich gróźb, jednak nie był sadystą, zresztą w negocjacjach zawsze wystarczała mu zła sława. Sympatyczne te krasnale, jak je przekonać?! Nagle doznał olśnienia - magiczny atlas geograficzny dziadka, wydany jeszcze za cara! To jest myśl! Te stare skrzaty po raz pierwszy w życiu opuściły dom, na pewno chciałyby zwiedzić kawałek świata, a on ma własne biuro podróży olinkluzjow (czy jakoś tak) i to w dodatku za darmo.

- Mówisz, Cynamonku, że po raz pierwszy wyjechaliście z Norwegii?



- Tak, a dlaczego pytasz?

- Nie chcielibyście trochę świata zobaczyć?

- Oj, tak! Do Egiptu bym poleciał, piramidy zobaczył... -
rozmarzył się Imbirek.

- Do Egiptu to nie, już byłem i mumie mnie po piachu ganiały! Wymyśl coś innego. Ale pamiętajcie, byznes is byznes, ja funduję wywczasy, a wy podajecie przepis.

-To jest rozsądna propozycja, Stefku. Dobiliśmy targu!

- To ja przyniosę kartkę i długopis, a wy się namyślacie, dokąd chcecie jechać.

Dzięki znajomościom wśród pracowników różnych służb Mateusz Sandomierski dowiedział się, że w porwaniu palce maczać mógł sam Stefek, znany bimbrownik i zakała powiatu. Strach pomyśleć, co mógł zrobić maleńkim krasnalom, by wydobyć od nich przepis na wódkę (bo przecież nie na cukierki!). Trzeba było je ratować. W tym celu detektyw udał się na Lubelszczyznę. Okazało się, że rzeczywiście Stefek chciał posiadać tajemnicę receptury lukrecjowej gorzałki i sprowadził krasnale do Polski. Cała wieś opowiadała sobie o tym, że Maciej, przyjaciel Stefka postradał zmysły - już widzi krasnale w czerwonych kubraczkach (dlaczego nie białe myszki?, tego nie wiedzieli). Jednak ani skrzatów ani Stefka nie było w chacie bimbrownika i nikt nie wiedział, co się stało ani dokąd mogli się udać.

Na osiemdziesiąte pierwsze urodziny Julenissen otrzymał nową pocztówkę do kolekcji, przedstawiała ona Imbirka,



II nagroda – Agnieszka Magierska



Cynamonka i Kardamonka ubranych w kąpielówki w kangury, surfujących na falach oceanu. W najbliższe Święta dzieci spodziewają się cukierków eukaliptusowych, a dorośli... (wiecie, czego).



Lubię fotografować stare domy. Pachnące zgnilizną i czymś dzieciństwem. Oderwane od pejzażu. Świąt, codziennych herbat i kaw. Zakurzone. Osieroczone. Szybko wyszli. Pozostawili po sobie szafę, święty obraz i ramę łóżka. Garnek na środku pokoju. Zimny i głodny. A trzymała go w szafce na specjalne okazje. Był od wigilijnej zupy grzybowej i rosółu. Ratuję stare domy. Wyjmuję je z wysokich traw, sadów i krzaków czarnego bzu. Otrzepuję z owoców berberysu. Przysłuchuję się jak skrzypią i opowiadają. Bo wiem, że kiedy powrócę, ich może już nie być. Przestrzeń będzie gładka. Bez żadnych wyrzuceń, zagniecień, wróbli. Bez matek, dziadków i ciotek. Nikt nie domyśli się prawdy.



Wdrapywali się powoli na Wzgórze Ślimaka. Wczesna zima. Poprzetykana gawronami i suchymi badylkami. Szorstka w dotyku. Czas się kurczy. Zaraz będzie jak czerwony owoc róży. Samotna grusza strzepuje z siebie resztki nieba. Wschodzą kule jemioly. Poletka mają gęsią skórkę. Ziemia usypia. Jej brązowe sny są pełne nasionek. pędów. piór. Biała kapliczka w dole. Jak plamka śniegu. Pierwsza lub ostatnia. *Panta rhei*- trudno mi w to uwierzyć. Boja utknęłam. Wrosłam w przestrzeń. Jak kamień. Mam szarą skórę, pokrytą porostami. W oddali psy szczekają już świątecznie.



Nitka opowieści jest jak nitka babiego lata, łatwo ją zerwać. Przestrzeń jest pełna jesieni. Jakiegoś smutku, co go trudno wytłumaczyć. Po dworze zostały tylko stare dęby o rozgałęzionych myślach. Czerwony komin gorzelni jak wykrzyknik. I stado saren zaglądających tu czasem nad ranem. Gdy pijacy z miasteczka wypiją wszystko, co zdołali przytaszczyć i na co pozwalają im skromne fundusze. Potem wysypują się przez bramę, ledwie trzymając się ziemi i nieba. Ich świat składa się z dwóch ulic, trzech sklepów i kościelnego przedsionka, z którego podglądają Pana Boga, który nigdy nie zamienił z nimi ani jednego słowa. Podczas wojny okoliczni mieszkańcy uratowali z rozbitego samolotu pilota. Nie zmienili jednak historii, ale próbowali wyprostować jej ścieżki. Potem nic takiego już się tutaj nie wydarzyło. Zapadła cisza. Z której czasem wystają wróble, białe owoce śnieguliczki i butelki po najtańszej wódce.



Zduńska Wola

Miejsce wiecznego spoczynku kufra podróżnego. Muzeum. Patrzą na niego z czarno-białych zdjęć obce twarze. Wiszą w powietrzu marzenia o dalekich wyprawach. Czasem przychodzi ostatni ocalały anioł z karawanu, który wie wszystko o życiu a jeszcze więcej o śmierci. Smutek był mu pisany. Choć gdy zerkał w niebo, rozbawiały go często kształty chmur. Żmija zygzakowata w butelce. Nie ukryje się przed ciekawskimi dziećmi. Wśród małych i większych buteleczek na leki. Dom Maksymiliana Kolbe. Tupot wielu nóg po podłodze. Przewodniczka o świętym mówi: Maksiu. jakby nic złego jeszcze się nie wydarzyło i nadal bawił się w pokoju na górze a matka głaskała jego małą główkę. Milczą warsztaty tkackie. Czółenka śnią o przeszłości. O czymś, co nigdy już się nie powtórzy.



Pamięć

Szukam sosen, między którymi powiesiłeś dla mnie kiedyś huśtawkę. Ale może je wycięli. Wszystkie drzewa są do siebie podobne. Grzęznę w dzieciństwie jak w rzeczonym mule. Idę pod prąd. Mijają mnie łódeczki z liści. W byłej synagodze panował chłód. Słowa na polichromii pachniały baśnią. Czymś, co naprawdę się nie wydarzyło. Niebo porastały dziewanny i dzikie wiśnie. Jeszcze dziś w kieszeni noszę na pamiątkę pestki. W sierpniu polne drogi nabierały żółtego koloru. Parzyły w stopy. Trzeszczały. Wszystkie ścieżki prowadzące na żydowski cmentarz gdzieś zniknęły. Pod warstwą szyszek, jaskółek, muszelek i ostrych gałązek jałowca. Dlatego może i oni nigdy nie istnieli. Szukam wciąż mojej huśtawki. Jakby to była najważniejsza rzecz na świecie.



ranna lisica, strzał

Nie każdy może lisicę złowić...

O. Wizzard

wśród spadających gwiazd
stąpałam dzisiaj leśną, oszronioną
aleją - zanim padł głuchy
strzał

spowity blaskiem i mgłą
szpaler
szeptał w noc bogobojnie
swą zieloną litanie.

oczy ptaków i zwierząt
błyskały,
niknąc w ciemności.

ich tropami podążał
Giovanni Bernardone.

ruchome cienie
wydłużyły się.

wciąż pachnie po nich
piołun, pokrzywa i macierzanka.

nad ranem znów
ktoś odnajdzie
kijaszek świętego Franciszka
obsypany
zielonymi pędami.



ranna lisica, wcielenie

przytulić kamień lub drzewo,
wbiec w to jaskrawe
światło
błądzące pośród skreconych,
mgłą dymiących korzeni
wierząc,
że życie jest wieczne.

pokłonić się
zmurszałym drzewom, przywitać
lipy i klony.

zostawić
skurzone ślady,
które wichher rozdmucha.

wcielić się
w igłę, w szyszkę, by przyjęła mnie ziemia.

las
otwiera podwoje, ale
już mnie tam nie ma. wszystko
jest duchowe:
i miejsce, i lato.

zamykam oczy i wietrzę
szepty grzybów, próchnienia –
widzę żywy, żywiczny, pulsujący baldachim
nad
mych lisiąt głowami...



ranna lisica, szept pierwotnej ciemności

do zmroku knieja dyszy cierpkim upałem,
mały ptak tka melodie
pierwotnych pieśni.

pachnie torf,
kępka trawy
i kamyk skryty pod ziemią.

nagle wiatr - jak przezroczystry woal
w sierści, w uszach
i w płucach, i motyl latolistek
- cytrynek.

kwew ma brunatną
woń - ludzka ręka otwiera
szept
pierwotnej ciemności.

niebo
napina niebieską żyłkę
Bogu na skroni.



ranna lisica, gałęzie

biegłam, żeby wyprzedzić
niecierpliwą szczęk śmierci.
zadrżał cień w ciemnym
borze, otwierały się
i zamykały
me zmęczone powieki.

biegałam,
a potem padłam, a wilgotne
powietrze dziki jazgot przenikał.

nim ustało mi serce,
domyślałam się szumu
świerków –

giętkich gałęzi,
które na mnie zrzuciły
igliwie w podmuchach wiatru,
zanim

stała się ciemność.



ranna lisica, pokot

pokot.

duma i dymy
roznieconych palenisk.

trąbka zwodzi, uwodzi, a córka
myśliwego ma rozszerzone oczy,
utkane
z niebiańskich nici, z pulsu źródeł, promieni.

łza dziewczynki jest czysta
- zmywa moje
przekleństwo - zawisa jak jasny kryształ
nad chorągwiami świętego Huberta...



Ballada o chromym grajku

Tam, gdzie chyli się leszczyna, gdzie pajęczyn złe wisiory,
Powiesił się chromy grajek, powiesił się dyna - dyna!
Na garbatym, na konarze płonej gruszy - polnej mary
W ciźbie cieni poplątanych cień wisielca się ugina...

Świadkiem były tylko liście, kwaśne gruszki i owady.
Chłód się czołgał gdzieś po rżyskach, sen omiatał krzywe sady...

Tam, gdzie chyli się leszczyna, powróż drasnął żywą korę,
Zaszurało coś w pokrzywach, zaszurało dyna - dyna!
Pod garbatym, pod konarem stęknął korzeń mandragory,
Noc rozlała swe czernidła po wąwozach, rozpadlinach...

Świadkiem były tylko liście, kwaśne gruszki i owady.
Chłód się czołgał gdzieś po rżyskach, sen omiatał stare sady...

Tam, gdzie chyli się leszczyna, jeszcze chwieje się w powietrzu
Pieśń chromego oberwańca, jeszcze tańczy dyna- dyna...,
Jeszcze skaleczona dusza opowiada swoją ranę –
W ciźbie poplątanych cieni kogoś wzywa czy przeklina...?

Świadkiem — puszczyk i lebioda, i Ten, który z gwiezdnych
tronów
Łowi poszarpane skargi, nasłuchuje rdzawych tonów...

Księżyc

*Księżycowi pięknemu,
który umiera na ziemi*

Chatuleńka - chatynka słomiane drewniana!
Miała - ci matula synka, ukołysała go w łopianach.
I pogłaskała go miękko, i zaśpiewała mu cienko,
aż się rozżarzył srebrem wśród cieni,
rozpromienił
Księżyc.

Ryczała krowa — miała pysk potwora.
Mijały lata - noc się z dniem przeplata...
Umarła mać - była chora.
- Odeszła z tego świata !!!
- płakał
Księżyc.

Zadyndały makatki. I plastikowe kwiatki.
I okiennice zatrzeszczały. Był sam. Wielki – mały...
Wszystkie panny za mąż wyszły wcześniej,
a w chatynce przestronnie, luźno... –
- Żenić późno.. –
dumał.
Księżyc.

I rzekł mi, że na noc jak wicią
zwiąże mi włosy srebrnogwiazdą nicią.
Zwiąże mi dłonie, stopy srebrem swoim
i bezboleśnie je przekroi.



Równno.

Księżyc.

Na co ci moje stopy, moje dłonie?...
Tyś w dole, ja - na nieboskłonie!
Zapłakały samotności dwie pospołu;
moja z gwiazd, jego - z tego padołu
niegodnego
Księżyca.

Pieśń o świętym Jerzym

Kto nie lubi bajarzy, niechaj dziada nie słucha,
Kto jest słaby w pamięci, ten nie pomni legendy,
Który kocha pieśń dźwięczną, lecz zaprzecza - ten kłamie,
Kto zaś smoka zabija w imię Boże - ten święty!

Więc kto dzielny, niech ucho natęży i czuje:
W mieście Lod złe smoczysko haniebnie harcuje!

Posłuchajcie ludziska - rzućcie pieniądz na wino,
Bo się wieść chce rozśpiewać niby ptak w rajskim lesie,
Bo się czara chce przeleć deszczogłosą godziną,
A lirnika łąza cuda nutą niesie i niesie...

Więc kto hojny, niech ucho natęży i czuje:
W mieście Lod złe smoczysko haniebnie harcuje!

Bóg wam łaskaw, szczęśliwcy, wszyscy wolni od pieczy
Berła czyjegokolwiek, gdy sięgacie stągwiemi;
Wy nie wiecie, co znaczy interdzykt człowieczy,
I nie wiecie, co znaczy cień potwora nad wami!

Więc kto Boga w swym sercu i hołubi, i czuje,
Niechaj zgładzi gadzinę, która w Lod wciąż harcuje!

Czasza pełna, więc powiem, oj!, ludkowie sędziwi,
Powiem, smagle dziewice, bo to wam się należy:
Smoka krzyżem znicestwił rycerz wasz z Kapadocji.
Któryż? - może spytacie. Ano sam święty Jerzy!



II nagroda – Anna Piliszewska



Więc rozum ma w głowie, niech opróżnia puchary;
W mieście Lod bogobojnym cud się zdarzył - nie czary!

Biegnie piękna księżniczka - bledziusia jak płatek,
Róża w kruchych jej palcach niczym hostia - nie kwiatek.
Wieść radosna po górach i wądołach się szerzy:
Smoka krzyżem zniestwił w mieście Lod święty Jerzy!

Więc kto pean ułoży współ ze mną zuchwale,
Dla onego świętego, tego pieśnią utrwale...!



Pieśń o śmierci dziada

Pod gałązką kwitnącej czereśni
Posłuchajcie ludkowie tej pieśni,
Posłuchajcie, bo tak wypada,
O miłości i śmierci dziada.

Jego lira korbowa,
Stara, ale jak nowa,
Choć nikt korbą nie kręci
Gra dla jego pamięci!

Chodził dziad ów po świecie i śpiewał
Dla komara, jaszczurki i drzewa,
I dla ludu, dla stanu wszelkiego,
Z odgórnego rozkazu Bożego.

Jego lira korbowa,
Stara, ale jak nowa,
Grała dla Bożej chwały,
Serca się radowały!

Ktoś dał jemu grosz albo pięć groszy,
Czasem dziad kwartę trunku poprosił,
By na lirze melodie wygrane
Godnie klękać umiały przed Panem.

Jego lira korbowa,
Stara, ale jak nowa,
Grała Bogu przez lata,
W różnych zakątkach świata!



Dnia jednego w gospodzie, przy winie,
Dziad się przyjrzał ubogiej dziewczynie;
Bosej, w starym kubraku łatanym,
Bladej jak wapnem bielone ściany.

Jego lira korbowa,
Stara, ale jak nowa,
Co śpiewała przez lata,
Drgnęła i się zacięła!

Rzekł dziad cicho przed dziewczką tą białą:
Serce moje przez ciebie ustało,
Lira tylko dla ciebie zabrzączy,
Jeśli zechcesz się ze mną zaręczyć.

Spójrz - ma lira korbowa,
Stara, ale jak nowa,
Co śpiewała przez lata,
Drgnęła i się zacięła!

Lecz u panny był w piersiach głaz twardy:
Miast miłości mu dała musztardy,
Miast pieśczoły mu dała kuksańca,
Potem z innym ruszyła do tańca.

A ta lira korbowa,
Stara, ale jak nowa,
Dziewce skocznie zagrała,
Kiedy tańcowała.

Szepnął dziad do swej liry jedynej:
Miałaś zagrać mi na zrękowiny,

Miałaś zagrać, gdy pójde do ślubu
Z moją bladą, krucheńką i lubą!

Lecz ta lira korbowa,
Stara, ale jak nowa,
Dziewce grała tymczasem,
A ktoś stukał obcasem!

Westchnął dziad: - Mało we mnie jest siły,
Gdy mnie obie kochanki zdradziły.
Potem zamknął zmęczone powieki:
Odszedł z ziemi padołu na wieki.

Wtedy lira korbowa,
Stara, ale jak nowa,
Dziewce brzdękać przestała
I zapłakała!

Pochowano śpiewaka pod klonem,
By szumiały mu listki zielone,
By śpiewały wam, bo tak wypada,
O miłości i śmierci dziada.

Także lira korbowa,
Stara, ale jak nowa,
Porzucona przy grobie,
Zaśpiewa tobie.

Przy mogile, przy nucie dziadowej,
Pokłękajcie poczciwi ludkowie!
Pokłękajcie, bo pieśnią was żywił,
Byście byli przez chwilę szczęśliwi.



II nagroda – Anna Piliszewska



Jego lira korbowa,
Stara, ale jak nowa,
Choć nikt korbą nie kręci
Gra dla jego pamięci!



Pieśń o wojnie trojańskiej

Hej, ludeczkowie grubi i chudzi!
Hej, cne matrony, zacne dziewoje!
Hej, posłuchajcie o takiej jednej,
Co sprowadziła wojnę na Troję.

A czy to było, czy też nie było,
A jaka była wojny przyczyna,
To wam opowiem już za chwileczkę,
Tylko mi w czasie nalejcie wina!

Hej, ludeczkowie, bowiem się godzi,
By suche gardło przy głośnym śpiewie
Przepłukać trunkiem - pieśni ratunkiem;
Kto nic nie nuci, ten tego nie wie.

I lejcież sami sobie w puchary
Pany, matrony i cne dziewoje,
Nim posłuchacie o takiej jednej
Co sprowadziła wojnę na Troję.

Dreszcz wam przebiegnie przez kark ze grozy,
I niejednemu włos wybieleje,
Gdy wam opowiem już za momencik
Okrutnej wojny zmurszałe dzieje!

Było to w czasach, kiedy bogowie
Zamiast z Olimpu odganiać muchy,
W błogą sielankę poczciwych ziemian
Zaczęli wsadzać brudne paluchy.



I pociągały ich ładne babki:
Więc taki jeden Zeus czy Zenek
W skórę łabędzią przyodzian, Ledę
Uwiódł i spłodził piękną Helenę.

Kiedy dziewica podrosła nieco,
Wnet ją wydano za króla Sparty,
Lecz ją wypatrzył niejaki Parys
I się zabujał chłop nie na żarty.

Wszystko to była sprawka trzech bogiń
Co miały w głowie bobki baranie -
O kwaśny owoc, nieco przygniły,
Się posprzeczwały te dziwne panie.

A czy tak było, czy też nie było,
I jaka była waśni przyczyna,
To wam opowiem już za chwileczkę,
Tylko mi kapkę dolejcie wina!

Parys był sędzią - dał Afrodycie
Gruszkę, a potem sparciała śliwę,
A dama na to: - Ja chcę wyłącznie
Jabłko piękności, ach!, robaczywe!!!

I takich wielkich dostała nerwów
I takie dzikie robiła sceny,
Że biedny Parys dał jej to jabłko,
Za obietnicę pięknej Heleny.

Choć odradzano mu cudzą żonę,
Parys powiadał, że się nie boi

Ni strzał zatrutych, ni zbroi kutych,
I porwał laskę z Myken do Troi.

Gdy tam przybyli, się położyli
Na kocu w kratkę, w wysokiej trawie.
On za pieszczoty dał jej klejnoty,
A za rym - cym - cym dał pióra pawie.

Zaś Menelaos (zdrobniale Menel)
Rąbnął w stół pięścią, bo był wkurzony
I tak powiada: Troi zagłada
Za podwędzenie mej drogiej żony!

Zafalowało wzburzone morze,
Gdy wyruszyły zbrojne okręty.
Ostrzyli miecze Nestor, Achilles,
I Achajowie łakomi zemsty.

Lecz odbić Helkę nie było łatwo –
Latami ciągly się krwawe boje.
W końcu się pewien koń napatoczył
I tak podstępnie podbito Troję.

Zdjęto przyłbice, wytarto noże,
Wszyscy się mogli rozejść do domów.
Menel Helenę zamknął w piwnicy
I jej nie oddał więcej nikomu.

I wszyscy byli zadowoleni,
Jedynie Odys, jako wieść niesie,
Zanim doturlał się do Itaki,
Kluczył tu i tam jeszcze lat dziesięć.



II nagroda – Anna Piliszewska



Tyle problemów - wszystkie przez bogów!,
Co miał z Olimpu odganiać muchy,
W błogą sielankę poczciwych ziemian
Zaczęli wsadzać brudne paluchy.

Lecz czy tak było, czy też nie było,
To inna sprawa panie, panowie!
Kiedyś, za grosik i czarzę wina,
Może wam powiem, albo nie powiem...

Oberwanie

Zima już jest. Tak to zima.
Poznaję po mrozie na szybach,
Zamyka mnie w sobie.

Z pól nie ma czego zgarniać
Poza bielą. Bez słowa
Wszedłem do rękawa bez swetra.

Zima już jest. Widzę to po twoim
Dreptaniu z kąta w kąt w podartym
Niebieskim fartuchu kuchennym
W czerwone kropki.

Masz minę obrażonej księżniczki,
Większość tego, co mówię puszczasz
Mimo uszu, zupełnie jakbyś miała do czynienia
Z dzieckiem.

Zima już jest. Nie widać okna sąsiadów,
Którzy marzą posłuchać naszego milczenia.

W starym garażu traktorzysta przeczesuje
Wąsiki. Pozostaje przy zdrowych zmysłach,
W samym środku oberwania śniegowej
Chmury.



Monologion

A więc to tak,
ja zupełnie kosmologicznie sam.

Bez zameldowania. Bez znaków
szczególnych. Bez racji istnienia
tutaj albo gdzie indziej.

Nie usadowię się w żadnej naturze.

Mam 50 a czuję 50 milionów lat.

Bez znaczenia tyle impulsów bije
w mojej głowie.

Dni to plastry bez szpar.

Nawet gdyby pod nogami
rozwarła się zapadnia
cała samotność powróci
do mnie.

Amnestia

Powędrowałem my ślą do stojącego
u mnie w pokoju drzewa otulonego korą
kołdrą i poduszkami.

Zdarzyło mi się kilkakrotnie go otworzyć,
pomacałem włókna i wyciągnąłem je
na światło.

Przypominały suche jak sznurowadła
ścięga dziadka, kiedy wrócił z sowieckiej
niewoli.

Babcia miesiącami karmiła go łyżką zupy,
a on płakał. Dokładnie do czwartej trzydzieści.
A potem układaliśmy go do snu w pustym
drzewie.

Pewnego dnia włożył mundur,
zapiął ostatni guzik i zmarł.

W tym czasie babcia wymyła wnętrze
drzewa jak czółno i pociągnęła lakierem.

Dziadek jako żołnierz wyklęty miał w chlebaku
suche skórki chleba, marchewkę, cebulę,
tłusty kawałek słoniny. Kościany kozik.

Śniły mu się partyzanckie pieśni.

Amnestia, szeptał wciskając się cały
do wnętrza swojego drzewa, najważniejsza jest
amnestia. Inaczej wszędzie będą błdzić echa –
pełno ich w całym mieście.



Fala

Rzeka wylewała co roku.
Mieszkańcy zrobili wał z brezentowych
Chmur wypełnionych piaskiem.

Starcy zbierali z obejść różne gruchoty i
Zawiązywali supeł na koszulach, aby o sobie
Nie zapomnieć.

Matka chodziła na szczydłach,
Wstrzymywała oddech i czekała,
Kiedy zupa spłynie poza brzegi stołu.

Wtedy nadjeżdżali strażacy w gumowych
Kombinezonach,

Potężne reflektory
Kroiły nieprzeniknione,
Zbliżające się w kierunku naszego domu.

Agnostyk

Niesie go jeszcze
Ździebelko nihilizmu,
Formowanie się skorupy ziemskiej,
Pycha będąca brakiem sytości,
Angelologia problemów religijnych,
Które wiesz co wieczór nad łóżkiem
W kierunku ściany.

Niedługo minie dziesięć lat od jego
Śmierci, halucynogennych właściwości
Trującego grzyba, ze lśniącem kapeluszem
Rozpiętego w ogrodach sióstr Bronte.

Nieskończoność może się powiększać,
Obrzęklostopego w przestrzeni czeka tylko fatum,
Pobyt w miesiącach żałoby, jakby
Każdy dzień był wdowcem, wsiadającym
Do małej łódki zapomnienia.

A przecież jest najmniej martwym:
Przypatrzcie się jego skroniom nad
Pustą już filiżanką i zamkniętą książką,
Jak wznoszą się do lotu nad ginącym
Światem, miejscem mówiącym *ja*
Do wiatru nad piaskami.



dobrze wiesz że najmocniej
trzeba nauczyć się kochać
tych
którzy
tej miłości
nie chcą
nam jej nie oddadzą.

I co z tego, że kolejna jesień samotna
Że liście znowu będą smętnie
Mówić:
Znowu Tylko Ty i My
Wiatr zawyje bezdusznie nad
Moim losem
Deszcz zapłacz nad bezsenssem
Mojego istnienia

Ale jesienią...

Można
Być bezkarnie i bez wszelakich podejrzeń
Smutnym

Pogoda wspiera

Im dalej od ludzi
Tym lepiej
Ciszej

Bezpieczniej.



I zostanie już tylko

Kap kap kap

Kap kap

Kap kap kap

Kap.



Gdybym?

Gdybym wiedziała jak mocno
Odczuję twoje odejście
Na swojej cienkiej
Jak pergamin skórze
I chorym kawałku serca
Który na moje nieszczęście
Został u Ciebie
To dalej chciałabym o nas walczyć
W każde wakacje.

Podeszłabym wtedy i suszarką Twoich niby
Ciepłych słów
Wysuszyła lzy
Na koniuszkach podartych
Rzęs.

Przykleiła uśmiech
Z całej partii
Którą przynosiłeś do
Mnie na każde nasze
Spotkanie.

Udała że przecież
Ty nigdy nic
Ona nigdy nic
A MY przecież zawsze

Tak jak mówiłeś

Gdybym tylko wtedy wiedziała...



Że tak mnie to dotknie.

I tak zaboli...

Nigdy.

Nigdy bym nie dała Ci tego zrobić.

Odejść.



Porządki

Jak poukładać to co kiedyś
I nowe teraz
Razem? Tak łącznie w jedną całość?

Kiedy nawet herbata, którą zwykłaś
Pijać jako ulubioną musi teraz
Bezczelnie spaść z piedestału.

Próbujesz oczyszczać swoje życie
Pozbywasz się zdjęć, pamiątek
Pierzesz mózg i serce

Wyżymasz je jak brudną szmatę
Którą wczoraj wtarłaś podłogę
Chwilę po tym jak w przypływie
wzburzonego morza emocji
wylałaś ulubioną herbatę.

WASZĄ

Już nawet nie wiem i nie
Chcę wiedzieć na co przyszedł czas
Bo już, na wszystko,
Zdecydowanie
Za późno.

Myślałam, że bez Ciebie może
Będzie lepiej.

Ale przyszedł ten smutek, którego
Nie potrafię jednak bez Ciebie okiełznać.



Który dociska mnie mocno do ziemi i boli...

... jeśli potrafię na dawny ból spojrzeć bez ukłucia ciernia
w sercu
to sobie z nim
poradziłam?

Czyli

Nie.



Cztery

Ostatnie dobre lata życia szczelnie zapakowane
W stare pudełko po butach
A co się mówi o butach?
Bo jest taki przesąd z tymi nieszczęsnymi butami przecież.
Że ludzie się rozchodzą, odchodzą, zostawiają.

Nostalgia.
Tak tłumaczysz innym swoje rzewne gorące łzy.
Smutek a za nim nierozwiązane problemy.

Więcej snu mniej myślenia więcej problemów mniej wysiłku.
Alkohol.

Przecież potrafię zapomnieć.
Za po mnieć.

Czy jakoś tak

Na wystawie stoją dwa czerwone serca.
Czerwony
Kapitalizm
KAPITALNE!

Nadmiar wrażeń, emocji.
Uśmiech jakby maszynowy
Jak seria z AK

Póki co tylko samotność
Przestrzeliła mnie
Zupełnie na wylot
Na wskroś.



Dlaczego nie?

Nie pytaj mnie czemu nie chce być już
Tylko tą małą dziewczynką w za dużym swetrze
Na taką miło czasami tylko popatrzeć

A ja tak bym chciała
Żebyś okłamał mnie tak jak tylko Ty to potrafisz najpiękniej
Że te moje marzenia że niby pociągiem w niby dookoła świata
To się uda

Skłamał tak jak zawsze
Kiedy reagowałeś na spotykające mnie nieszczęścia

Pragnę czasem móc ubrać tę swoją żalosość
Okryć ją jakoś móc się jej w końcu nie wstydzić
Jak łysej głowy po chemioterapii.

Prześcić czytać te utopione w miłości, szczęściu romanse
Kończące się zawsze tak samo
Miłość, seks, rozstanie, fajerwerki, bo nie umiemy żyć ze sobą
A bez siebie mamy chore głowy

Wyrzucić z siebie te wszystkie tony nijakich, mdłych słów
Mówiących o tym o czym wszyscy

I te wszystkie wiersze które zamiast uwrażliwiać na piękno
Pobudzają we mnie euforyczne uczucia miłości
Niech przepadną.

Nie uzalać się nad sobą że zabito tą piękną przyszłość
Różowe piórka na łóżku, czerwone róże przed nim.



Ci wszyscy poeci powinni odbyć najcięższą pokutę
Z jaką przyszło im się zmierzyć
Nie spróbowali nawet wyciągnąć
Choćby na chwilę i choćby przelotnie z tej amnezji smutku

Bo tak bardzo jak chciałam kochać tak szybko spadłam na
nienawiść
Tak bardzo jak chciałam dorosnąć tak szybko uleciałam do
dzieciństwa

Zamiast zatryumfować, zwyciężyć i pokazać jak to ja umiem
wygrać
Zamiast pielęgnować swoją beczelność i twarz nienagannie
wredną

Pokazałam wszystkie swoje słabości, ułomności cierpienia
Żeby ktoś mógł to odbić jak piłkę i pozwolić wpaść mi w obłąd.



Życie

Życie jak huśtawka
Raz blisko a potem znów daleko
Życie jak fortepian zachwyca linią melodyczną
Życie jak książka pisze kolejne rozdziały
Życie to zegar ukryty w nas
Życie jak otwierane drzwi
ciągle otwieranie drzwi w nieznane



Nadzieja

Przyszłaś
Musimy chwycić się za dłonie
Przemierzać lądy nieznane
Powolnym gestem
Stojąc na krawędzi
Wziąć głęboki oddech
Marzyć, żyć, ufać



Miłość

Miłość ma niczym ogień w kominku
Pali się nieprzerwanie
Przynoszę wartościowe drewno, łuczywo
Dębina pali się gorąco, namiętnie, trwale
wypala mnie do cna
Brzoza rozpala się szybko, a nawet za szybko
Akacja pali się zasadniczo i stanowczo
Ale jak mam rozpalić twardą gruszę?
To już sztuka sama w sobie
Grusza pali się dobrze tylko przy żarze
bez wsparcia żaru bardzo chętnie dymi, smuży tłac się gryząco
i tkliwie..



Wybór

Wybór już dokonany
Nie żałuje tego co się stało
Chwile miłości odeszły już w dal
Miłość odeszła
Serce zasmuciła



Szczęście

Dziwne są drogi przeznaczenia
Szczęście przychodzi
Chciałbym mu coś dać
Nie wiem jak
Nie stać mnie nawet na poryw emocji



Przyjaciel

Baloniku mój malutki,
Zabierz mnie pod anielskie budki,
Daj mi dotknąć jedną chmurkę
Pomóż wspiąć się pod górkę,
Pofruń z wiatrem aż do Czech,
Przyprowadź mi uśmiech,
Kiedy upadam podnieś mnie,
Tak się cieszę gdy Cię pompuję,
Bo powietrze we mnie buzuje,
Jesteś moim przyjacielem,
Kolorowym pocieszycielem,



Osąd

Stał oparty mówiąc żeś nic nie warty,
Tobie w oczach łza stanęła
Oni krzyczą- głupotę palnęła!
Wszędzie szum, wszędzie krzyk
Dziecko wpada w ryk
Co to będzie? Co to będzie?
Chaos wszędzie!
Nagle wszystko milczy,
Nikt już więcej nie krzyczy
Spokój zapanował, chorał zakrólował



Presja

Mam tyle do powiedzenia,
a zarazem nic nie mam...
Mam tyle modlitw do odmówienia,
a zarazem żadnej nie mam...
Gubię się idąc, stojąc, siedząc
Nawet wzrok mój nie ma gdzie się kierować,
bo myśli moje są jak pielgrzymki
za głośno chępią, za głośno szeptają...



Wybaczenie

Czuję się samotna
Czuję się przegrana
Znowu zawiodłam
Znowu upadłam
Wstałam rano, płacz mnie zbudził
Myśli moje ciągną cień
Nie chcę zepsuć tego co dostałam
Leczę się modlitwą
Czekam na łaskę
Proszę o litość
Pogarda mnie męczy...
Ktoś łapie mą rękę
Wyciąga mnie ,bo tonę
To ręka Boga
nie widzę twarzy, a światło mnie razi
Czemu mnie ratujesz drogi Boże?
Kiedy ja naokoło tyle grzechów nosze...
o wybacz łaskawy....



Podróż

Podróżowałam w siodle
moje nogi odmówiły mi posłuszeństwa
Poddałam się za szybko
bez walki- nie krzyczałam
Kolana uginam przed Bogiem
W ręku koralik różańca
poprosiłam anioła do tańca
Wznieśliśmy się wysoko
nie słyszałam nic
ale wiele widziałam
to chyba koniec
Padłam



Lenistwo

odłogiem leży na dowolnie
wybranym boku plackiem
na gorącej patelni kanapy
z uniwersalnym pilotem
do lokalnych inicjatyw
nie rusza ręką ani nogą
z obawy przed turbulencjami
w podniebnym korytarzu
dobrego samopoczucia
bez kiwnięcia palcem
na spacerującą muchę
w oczekiwaniu na odleżyny
nie musi zdążyć na czas
rozlaźle do obrzydzenia
ale za to nieziemsko błogie



Czas, był sobie czas,
dobry, szeptał i miał oczy
zielone...

Teraz, było jakieś teraz,
co nie znaczyło prawie nic, choć trwało
przez kilka lekkich chwil...

Wiatr, był sobie wiatr,
chudy, zimny, zdradziecki i przywiał
płacz ...

Płacz, był jakiś płacz,
zostały już tylko mokre oczy i po łzach
słodko-gorzki smak...

Drzwi, były jakieś drzwi,
nie mogłem znaleźć klucza, niczym sensu
życia...



Współczesny Ikar

współczesny Ikar zapomniał mitu
o protoplaście latania

by podnieść się do lotu
zamiast skrzydeł
ma garść używek
i dziwne źrenice

współczesny Ikar ma młodość
głupotę i ma dwa życia
naciska myszkę
bierze rozbieg z dachu

współczesny Ikar nie czyta instrukcji obsługi



Ogonek po nostalgię

Z cyklu: Kolejki polskie

Kolejka po lody włoskie serwowane z automatu
w sierpniowe późne popołudnie sięga na drugą
stronę wybrukowanej ulicy. Przypomina o smakach

dzieciństwa, gdy nie miało się jeszcze żadnych trosk,
zmartwień i siwych włosów na skroniach, a jedynym
problemem była wielka dziura na kolanie zrobiona

w niedzielnych spodniach i koniec wakacji zbliżający
się wielkimi krokami.. Wspomina o czasie, gdy nie było
jeszcze lodopodobnych mrożonek kupowanych

w supermarketach wybudowanych na placach po
ruinach zakładów produkcyjnych. Marzy o powrocie
do przeszłości, choć niejednokrotnie, by zarobić na

lody, trzeba było wówczas pół dnia zbierać jagody.
Każdy ponownie chciałby zostać dzieckiem, aby
przeżyć swe życie jeszcze jeden raz. Zapewne

inaczej.

O czynach

Nie czyny świadczą o Tobie
Lecz wiara w drugiego człowieka
Nie słowa budzą pragnienie
Lecz ciepło bijące w ich sercach.
Człowiekiem może być każdy
Choć często tylko nim bywasz,
Nie czyny świadczą o Tobie
Lecz słowa, których nie wyznasz.



Cierpienie

Ból wspomnień bliski jest
Samotność skrywana skrętnie
Krąży niedbale
Na stole zapisane karty wspomnień
Pozostawione przez przybysza
Wszystko się kończy
Smutek się rodzi
W pogoni za beztroską
Wezmę głęboki oddech
On mnie wyzwoli
Odejdę...

Kościół w Wilnie

jest w Wilnie taki kościół
i takie podwórko
gdzie na kamieniach
przysiadły dwa Anioły
jakby czekały na piknik
i nie wiadomo na co jeszcze
ręce wyciągają przed siebie
chcą coś powiedzieć
skrzydła głuszą słowa
nie odjeżdżajcie
nie śmieście się
nie płaczcie
nic na tym świecie
nie jest ani wesołe
ani smutne
wszystko przeminie
tylko nasz piknik zostanie



Trefny sztukmistrz iluzji (fragmenty)

Introdukcja. Refleksy pamięci.

Kolorowe szkiełka, barwne koraliki, atlasowe sznurki, miękkie kokardki, aksamitne wstążki, złote i srebrne nitki, błyszczące oczy cekinów, czerwony flausz, pasiaste trykoty, falbany z żorzęty, grube makijaże, buty na koturnach, tanie perfumy, dąsy i fupy, gorzko-wesoły uśmiech arlekina, kpiny ze smutku, śmierć na niby, zabawa za pieniążek drobny, sprzedajny, który temu i owemu kabzę nabije, dostatek przyniesie.

- Zobaczycie, a nie uwierzycie! - odezwał się krzykliwie ubrany jegomość w gigantycznym cylindrze i złotym surducie, który odważnie stanął na środku placu targowego na nieco zmurszałej już beczce. - Ludzie, ludziska, takiego dziwowania jeszcze w życiu nie doświadczyliście! Przyjdźcie tu dziś wieczorem na pokaz naszego obwoźnego cyrku „La Forza del Destino”, czyli „Siły Przeznaczenia”. Nie żałujcie paru groszy dla naszej trupy, co to wędruje od wsi do wsi, od chałupy do chałupy! Nie gderajcie, nie szemrajcie, tylko na nasz program kumów swoich zapraszajcie! Tego jeszcze wasze oczy nie widziały, a bardzo by chciały!

Rwetes podniósł się wielki, krzyki, poszturchiwania łokciami, zamieszanie ogromne. I wszyscy naraz szeptali, debatowali, naradzali się, co też może to całe wydarzenie dla nich znaczyć. A z tego tłumu rozgorączkowanego, podnieconego niezwykle przecie oraz zaabsorbowanego, głosy poczęły płynąć:

- Cyrk przyjechał do wsi, olaboga, olaboga! Cuda, dziwy, niedowiarki!

- Będą cudaki, dziwaki, baba z wąsami, baba z trzema cymbkami, karzełki, zrosłaki!

- Kto ma oczy, niechaj patrzy! Za parę groszy będzie przednie widowisko!

- Umarlaki zmartwychwstaną, trupiszczą otworzą oczyska! Co to będzie, co to będzie! Patrzenie, patrzenie! Tego się nie da potem odzobaczyć!

- Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie! Arlekiny tańczą, aż nóg z dylania wokół nie czują! Zabawa, uciecha, rozpusta dla zmysłów!

- Tego jeszcze w naszej wsi nie było! Jarmarczne osobliwości u nas zagoszczą, będą nam pajacować, oczy i uszy radować!

Wiejski jarmark barwami i pokusami frymarczył, kieckę zadzierał wysoko, kolana tłuste wystawiał na pokaz, mamił brudnymi halkami lokalnych dziewczuch, bekał przetrwoną słoniną z krążkami cebuli. Tu zapachy żarcia smakowitego mieszały się z wonią gospodarskich zwierząt, które przecie perfumów nie znały - jeno tłusty pot na grzbiecie oraz mordęgę pracy na niwie pana. Tu stukot kół wozów drabiniastych zazębiał się z pikantnymi przyśpiewkami jednookiego starca, który w ten sposób zbierał do zdepiętego kapelusza parę groszy na strawę. W tym miejscu gdakały roześmiane, grube w udach, gospodarskie dziewczuchy, szturchając się pulchnymi łokciami i drapiąc się po potężnych łydkach. Tutaj szepty umów i układów stapały się w jedno z krzykami naganiaczy, którzy za wszelką cenę chcieli sprzedać przywiezione na jarmark towary. Tutaj szeleściły szlachetne materiały, stukały jeden o drugi czerwone korale, a podniecenie kupujących kłębiło się w oparach z przesadną energią sprzedających. To tu towar był bożkiem,



przed którym bili pokłony poddani - interesanci. W tym miejscu rzeźkość poranka mieszała się ze znużeniem popołudnia, kiedy to plac targowy powoli pustoszał, jarmarczni magicy rozjeżdżali się ze swoim dobytkiem do domostw, ciągnąc za sobą półżywe zwierzęta - kupione lub w ogóle nie sprzedane. I tylko jedno się nie zmieniało w tym krajobrazie po jarmarcznej bitwie o towary: błoto. Jak było rankiem, w południe - tak i zasysało swoje ofiary po południu. Każdy przechodzień otrzymywał w darze błotny stygmat - grudkę, maźnięcie, czasami i pół nogi było dokładnie usmarowane, tym kremem dla ubogich.

(...)

Emocjonalny ekshibicjonizm. Siła konfrontacji.

Zapowiedziana przez ojca baba z wąsami wyciągnięta została przez gwizdy rozochoczonej publiki z bezpiecznego schronienia za kulisami. Szła w kierunku ludzi ze spuszczoną głową, z wyraźną niechęcią. Cała jej sylwetka zdradzała bierny opór, a usta nawet nie starały się ukryć grymasu niezadowolenia. Gdy tylko stanęła na środku areny, podniecenie widowni zdawało się sięgać zenitu. Siekano ją słowami, zdaniem całymi, wydłubywano z intymności istnienia. Odzierano z prywatności i podskubywano jej godność.

Ależ masz mordę ohydną! Takiej baby to bym nawet pogrzebaczem nie macał! - zaśmiał się obrzydłe głos jakiś.

Ty, może byś tak ucięła wąsiki, co ci gębę zasłaniają? Toż przecie pewnie jak chłop żresz, wąsy maczając w jedzeniu! - zarechotał głos z ciemności namiotu.

- Przejrzyj się w tafli bagna naszego, to wszystkie żaby nam podychają! - zażartował głos inny, młodszy tonem.

- Po co ty babo suknie na cielsko zakładasz, kiedy takie dziwa na twarzy hodujesz?! Jak tylko kto zobaczy te twoje włosiska na gębie, to choćbyś i goła była, nawet na nieskromność obnażoną twą nie zerknie! Taki będzie pochłonięty obcowaniem z damą wąsatą! - perorował ktoś ukryty w przytulnym mroku.

Inne jeszcze wyrazy okrutne wciskano w twarz nieszczęsnej dziewczynie, kaleczono zdaniai jej duszyczkę wrażliwą, aż najwyraźniej coś w niej pękło, coś urosło, jakieś postanowienie, siła może... Naraz bowiem głowę uniosła wysoko, hardo, po pańsku ją trzymała, a w oczy zaglądała każdemu widzowi po kolei, bez mrugnięcia choćby powieką. A im dłużej ich wzrokiem badała, oczyma bodła, sumienie przewiercała, tym większa cisza się robiła, aż w końcu i muchy wiosłowanie skrzydłami zabrzmiałoby w tym namiocie cyrkowym jak hałas olbrzymi. Wszyscy jak jeden mąż umilkli, nagłym wstydem zapałali, oczy jeden po drugim spuszczać zaczęli. I gdy się okazało, że to chyba nie oni przyszli dziewczynę z wąsami oglądać, ale ona ich - w ich zezwierzęceniu obyczajów, w ich wulgarności i agresji, konferansjer w złotym surducie przerwał ową ciszę nabożną.

- Piękne panie, szanowni panowie, co tu tak cicho, tak smutno? Radować się trzeba, cieszyć przecie, że się w naszym cyrku *La Forza del Destino* takie cuda i dziwy oglądać przydarzyło! Z naszej budy każdy wychodzi zadowolony, nasycony widokami zdumiewającymi, od których włos jeży się na... wąsie! Ha, ha, ha! No sami państwo słyszycie, że nawet na mnie wąs u kobiety robi wrażenie! Nawet mi takie bujne nie rosną jak tej tu oto babie! Zatem - oklaski, brawa, owacje na stojąco! A gdyby kto dodatkowo raczył odplacić nam za takie nieziemskie widoki, przy wyjściu z namiotu klaun kolorowy chętnie przyjmie jakie datki wdzięczne!



I były oklaski, gwizdy, poszturchiwanie się łokciami, pokrzykiwania, wiwaty, pijackie przyśpiewki, poklepywanie się po ramionach, całowanie w rumiane policzki. Nikt nie zauważył kiedy dziewczyna z wąsami dumnie, z wielką godnością odmaszerowała w zakulisowy cień, przykrywając się usłużną smugą ludzkiego zapomnienia. Nikt nie spostrzegł, że potem pobiegła gdzieś przed siebie, byle dalej, byle uciec od penetrujących ją ze wstrętem wścibskich spojrzeń wsi. Nikt nie spostrzegł, że bagno ją przyzywało, mamiło, uwodziło zwodniczo. Śpiewało do niej czule dziecinne kołysanki i pieszczotliwie szeptało na uszko słowa pociechy:

*Daj mi swe lico skubnąc rumiane,
a w rusalkę zieloną zaliczysz przemianę!
Przejrzyj się w taflę mojego zbiornika
i zobacz, jak wąsów cień wstrętny znika!*

Uwierzyła, bo uwierzyć chciała, przechyliła się mocno, stojąc na brzegu bagna i los swój odgadła! Powierzchnia bagiennego lustra wyraźnie pokazywała, że nie ma przecież żadnych wąsów! Twarzyczka była gładziutka, delikatna, dziewczęca. Baba z wąsami najwyraźniej utopiła się pod bagienną powierzchnią. Poruszała jeszcze przez moment ustami jak ryba, wachlowała rozpaczliwie wąsami jakby to były płetwy i po chwili już jej nie było. Zniknęła, przepadła, amen. Świeć świetliku życzliwy nad jej duszą boleściwą!

Życia lekkiego nie miała, ojca życzliwego brakowało. Wciąż tylko stał nad nią, obrzydłe wykrzywiając swoją twarz i bez końca przypominał: „Tylko mi się nie waż ścinać wąsów, darmożjadzie! Tylko nad tym nadmiarem swoich włosków lamentujesz, jakbyś nie wiedziała, że dzięki nim nasza rodzina ma co do garnka włożyć! Bydło jesteście wszyscy niewdzięczne, obiboki po matce cycatce! Już nikomu z was nie chce się zarabiać na łyżkę ciepłej

zupy z kartoflami! Tylko ja na was tu tyram i haruję, flaki sobie z wnątrności wypruwam, cudów i dziwów dokonuję, a wam ciągle źle i źle! Dzieciary z was niewdzięczne, nieudaczniki mi wstrętne! A może zresztą wy wcale moje potomstwo nie jesteście, tylko jakie bękarty, co je matka na boku zmajstrowała? To przecie niemożliwe, by człowiek z moją pozycją miał tak debilowate bachory w domu!”.

Wściekły głos jegomościa w złotym, cyrkowym surducie na dno bagna już nie docierał, tam więc dziewczyna z wąsami w spokoju osiadła. I już nie widziała, że podpłynął do niej sum zaaferowany, miłośnie błysnął okiem, płetwą się otarł o jej twarzyczkę. Zali to przecie jego wymarzona, wyśniona! I jeszcze - jak i on przecie, z apetycznym, ruchomym wąsikiem!

Cyrk kolorowy, uboższy o jedną nieszczęśliwą duszyczkę, odjechał w końcu wozami pękatymi z tej wsi - ni to lepszej, ni to gorszej od innych. Tylko stara bida została na stanie, w tym samym miejscu, w którym piszczała. I dziewczyna została jeszcze na dnie bagna, w rusalkę zielonowłosą przeobrażona, demona zielono wąsatego. Na ogół wieczorami nad bagnem żadnych bezceństw nie wyprawiała, mężczyznom nierozważnym zagadek śmiertelnych nie zadawała, nie zatańcowywała ich też na śmierć. Jeno tylko raz w roku, gdy cyrk jej ojca *La Forza del Destino* przyjeżdżał do wsi z występami, czatowała na niego w kubku wody, pod powierzchnią zupy, w misce deszczówki do porannych ablucji, byle tylko go pochwycić i utopić. Należało mu się przecie jak mało komu! Za jej wąsy sztucznie wyhodowane, za trzeci cycek matuli, za bliźniaki - zroślaki na siłę do siebie klejone ku uciesze gawiedzi! Za cały ich rodzinny, trefny żywot!



Wizytacja (fragmenty)

Kapitan Roberts przekreślił wyłącznik. Na statku zapaliły się górne światła. Kapitan wystukał na klawiaturze część specjalnego kodu. Drugą część kodu wpisał jego zastępca, pierwszy oficer Suworoff. Specjalne roboty rozpoczęły wybudzanie przeszkolonego personelu medycznego, który z kolei miał obudzić z letargu pozostałych podróżnych.

W tydzień później wszystkich dwustu uczestników lotu było już na nogach. Stołówka, sala bilardowa, bar i korytarze wypełniły się ludźmi, ożywionymi zbliżającym się końcem podróży. Ruch panował również w sektorze C5, w którym niewielkie kabiny zajmowała szczególna delegacja — kardynał Filippi z Kongregacji Nauki Wiary, legat papieski, wyposażony w specjalne pełnomocnictwa Ojca Świętego, biskup Laurentini z Włoch, biskup Jimenez z Meksyku oraz trzech kapłanów: Polak Ostrowski, Węgier Horvath i pochodzący ze Stanów Zjednoczonych Billing.

Przez głośniki nadawano komunikat załogi: „Dwadzieścia pięć lat temu wyruszyliśmy z ojczystej planety Ziemi ku planecie Terranova. Za dwa tygodnie wylądujemy na powierzchni planety, w mieście Humanitas, będącym stolicą kolonii. Prosimy o przygotowanie się do lądowania”.

- Muszę przyznać, że jestem bardzo poruszony — powiedział kardynał Filippi. - Niebawem zobaczymy efekty tego niesamowitego eksperymentu.

- A przede wszystkim zobaczymy, jak funkcjonuje nasz święty Kościół na nieznaną planecie - uśmiechnął się biskup Jimenez. - Też nie mogę się doczekać.

Dokładnie sto lat przed opisywanymi wydarzeniami z Ziemi wystartowała szczególna ekspedycja. Na fali sztucznie wywołanej hysterii rządu wielu krajów uznały, że należy przygotować się do sytuacji, w której z powodu przeludnienia życie na planecie stanie się niemożliwe, ponieważ zabraknie surowców i żywności. Apokaliptyczne wizje, w których tani prorocy z wyuzdaną rozkoszą w zależności od fantazji i upodobań opisywali, jak będzie się żyło na pustyni, już to smaganej wiatrem i pokrytem lodem, już to spalonej słońcem, pobudzały wyobraźnię wielu osób. Tymczasem odkryta niewiele wcześniej planeta oznaczona symbolem X1743, a później nazwana symbolicznie Terranova, dawała nadzieję na założenie trwałej kolonii. Co prawda, jedynie część terytorium planety nadawała się do zamieszkania, a jej klimat przypominał dość mocno bardzo surowy klimat Mongolii, ale niebawem pojawił się pomysł wysłania ekspedycji złożonej z dwustu tysięcy ludzi, którzy mieli rozpocząć życie w nowym miejscu.

Od ochotników wymagano żelaznego zdrowia, wieku do trzydziestu lat i znajomości angielskiego. Jako że lot na planetę miał trwać dwadzieścia pięć lat, ochotnicy mieli być pogrążeni w stanie głębokiego letargu, dzięki czemu ich biologiczny wiek posunąłby się do przodu zaledwie o kilka miesięcy. Całe to wielkie logistyczne przedsięwzięcie przygotowywano przez pięć lat, aż wreszcie kilkudziesiąt potężnych statków, po uroczystych pożegnaniach, wzbiło się w niebo i skierowało ku nowej Ziemi.

Kościół był niezbyt chętny inicjatywie, nie chciał jednakże pozostawić odjeżdżających bez opieki duszpasterskiej, w związku z czym utworzył administraturę apostolską Terranova, mianował administratora, który otrzymał święcenia biskupie, i razem z nim wysłał jeszcze trzech innych biskupów oraz dwudziestu księży,



k którzy mieli zorganizować na miejscu seminarium duchowne. Administrator otrzymał bardzo szerokie uprawnienia, w tym m.in. do wyświęcania biskupów bez konieczności konsultowania tej decyzji z papieżem. Chodziło wszak o zachowanie sukcesji apostołskiej.

Początkowo zakładano, że co parę lat będą się odbywać kolejne wyprawy z ochotnikami. Okazało się jednak, że do skutku doszedł tylko jeden wyjazd, ponieważ koszty organizacyjne przerosły najśmielsze oczekiwania, a poza tym stwierdzono, że zamiast rzekomego przeludnienia w wielu rejonach świata dochodzi wręcz do depopulacji na wielką skalę, więc zagrożenie, które w rzeczywistości nigdy nie istniało, przestało w końcu wzbudzać jakiegokolwiek emocje.

Ostatecznie zatem porzeczano na przesyłaniu na Terranowę co kilka lat nowej ziemskiej produkcji literackiej i filmowej, a także najciekawszych wynalazków — łączność radiowa była niemożliwa z powodu zbyt dużej odległości i zakłóceń. Odwrotną pocztą otrzymywano wiadomości na temat organizacji kolonii — jak się można domyślić, pierwsze dotarły dopiero po z górą pięćdziesięciu latach od startu ekspedycji. Wyglądało na to, że emigranci poradzi sobie całkiem dobrze. Dla wszystkich było jednak oczywiste, że należy wysłać niewielką, kilkusetosobową delegację, która na miejscu sprawdzi, jak wygląda „Nowa Ziemia”. Poza zwykłą, ludzką ciekawością w grę wchodziło również zachowywanie pozorów przez rządzących państwami, którzy obawiali się oskarżeń o pozostawienie bliźnich samych sobie. W skład delegacji, w której znalazło się wielu polityków, ekspertów z różnych dziedzin, a także członków kolejnego pokolenia rodzin

emigrantów weszło również kilku wymienionych wyżej hierarchów Kościoła Chrystusowego.

Na lądowisku czekało na nich ze dwadzieścia tysięcy osób - ogłoszono dzień wolny od pracy. Po oficjalnym powitaniu przez władze Terranovy zostali przewiezieni do Humanitas - stolicy i właściwie jedynego miasta na planecie. Przeważająca większość osadników mieszkała właśnie tam. Wokół miasta znajdowały się gospodarstwa, zapewniające dostawy produktów żywnościowych, ale na tych gigantycznych, mocno zautomatyzowanych farmach mieszkało na stałe bardzo niewiele osób.

Delegacja Kościoła katolickiego została serdecznie powitana przez administratora apostołskiego, biskupa Bernarda Schwedego. Wszyscy z gospodarzem udali się do niedużego pałacu administratora, gdzie przydzielono im całe skrzydło — skromne pokoje i kaplicę.

(...)

W tydzień później delegacja z Ziemi odwiedziła parafię Najświętszego Serca Jezusowego w dzielnicy północnej Humanitas. Świątynia przypominała kardynałowi Filippiemu z zewnątrz skoczną narciarską i miał ochotę zapytać, czy podczas mroźnej zimy młodzi wikariusze nie mają ochoty trochę poskakać na nartach, ale przypomniał sobie, że opady na Terranovie są niezwykle skąpe, nie mówiąc, już o tym, że takie pytanie wydało mu się jednak niestosowne.

We Mszy Świętej w tejże parafii również uczestniczyło bardzo wielu ludzi, chociaż część z nich sprawiała wrażenie, jakby znalazła się w kościele po raz pierwszy. Podczas kazania kardynał musiał uciszyć kilka osób, które uciły sobie przyjacielską pogawędkę. Kardynał ochrzcił też dziecko, które



urodziło się w dniu jego przybycia na Terranowę, a potem spotkał się z parafianami na rodzinnym pikniku.

Na terenie tej parafii znajdował się duży szpital, a w niewielkiej odległości od niego katolicki cmentarz. Kapłanem szpitala był czterdziestoletni kapłan o niebieskich oczach, ksiądz Anconi, Włoch z pochodzenia, który jednak z trudem mówił po włosku. Kardynał pytał o chorych. Szczególnie interesowała go posługa wobec umierających.

- Różnie z tym jest — powiedział ksiądz Anconi. - Niektórzy w obliczu śmierci nawracają się, ale wielu złorzeczy mi nawet w agonii, nie chce się wyświadczać, wielu śmierć jest obojętna, nie wierzą w piekło.

Kardynał kiwał z roztargnieniem mocno posiwiałą głową. Potem, ze wzruszeniem, modlił się na grobach tych, którzy siedemdziesiąt pięć lat wcześniej przybyli na Terranowę, a teraz od dawna spoczywali już pod powierzchnią planety, cierpliwie oczekując zmartwychwstania ciał. Całe miasto umarłych. Tu było prawie jak na Ziemi. Kardynałowi brakowało tylko strzelistych cyprysów albo innych drzew, ale niestety, w terranovańskim klimacie dbanie o roślinność na cmentarzu okazywało się za trudne.

Podobne wizytacje ziemscy kapłani odbywali w pozostałych parafiach Terranowy. Włączyli się też aktywnie we wspomaganie miejscowego duchowieństwa. Odprawiali Msze Święte, głosili kazania, odwiedzali chorych w szpitalach, głosili wykłady w seminarium, zapoznawali się też z kościelną dokumentacją. Po kilku miesiącach wszyscy przyzwyczaili się do pobytu gości z Ziemi i przestali zwracać na nich uwagę. Pobyt ekspedycji na Terranowie miał potrwać rok. Spodziewano się, że

niektórzy członkowie wyprawy zechcą pozostać w tej ziemskiej kolonii, natomiast znajdą się zapewne również mieszkańcy Terranovy, którzy zapragną przenieść się na Ziemię.

Kardynał Filippi lubił spacerować obok swojej rezydencji, zwłaszcza wieczorem, kiedy po upalnym dniu, temperatura mocno spadała i robiło się wręcz chłodno.

Podczas jednego z takich spacerów w sobotę przed uroczystością Trójcy Przenajświętszej zauważył, że ktoś go obserwuje. Był to mężczyzna średniego wzrostu, około czterdziestki, ubrany w szary garnitur.

Kiedy zauważył, że kardynał go dostrzegł, zbliżył się nieśmiało.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — powiedział.

(...)

Kiedy biskup Schwede opuścił pokój, z dużej szafy wnękowej wysunęli się cicho biskup Jimenez i ksiądz Ostrowski.

- Słyszeliście? To dobrze. Zawołajcie teraz chłopca.

W kilka minut później kleryk Franciszek Piotrowski zapukał cicho do apartamentów kardynała Filippiego.

Następnego dnia zachmurzyło się trochę i nawet zaczęła padać deszcz, co na Terranovie było zjawiskiem bardzo rzadkim. Za kwadrans szósta rano w sypialni biskupa Schwedego rozległ się dzwonek telefonu.

- Proszę natychmiast przyjść. Kardynał Filippi chyba nie żyje...

Biskup Schwede, który spędził bezsenłą noc, zjawił się natychmiast u kardynała. Kardynał wyglądał, jakby spał, ale jego ręka była zimna jak lód.

- Szybciej! Pogotowie!



- Już wezwaliśmy — odpowiedział Węgier. — Co rano spotykaliśmy się w kaplicy na modlitwie o wpół do szóstej. Kiedy minęło piętnaście minut, a kardynał się nie pojawiał, przyszliśmy tutaj.

Przybyły lekarz stwierdził, że kardynał nie żyje od kilku godzin i wezwał terranovańską policję. Czynności policyjne trwały kilka godzin. Wyjaśnienia lekarza sprawiły, że konieczna okazała się sekcja ciała kardynała Filippiego.

- O co może chodzić? Podejrzewają coś czy robią to tylko dlatego, że zgon był tak nagły? — zastanawiali się kapłani.

Tymczasem biskup Schwede wezwał biskupa Jimeneza i pozostałych członków delegacji na naradę.

- Rozumiem, że ksiądz biskup obejmuje przewodnictwo delegacji po zgonie naszego drogiego brata?

Biskup Jimenez skinął głową.

- Niemniej jednak, pełnomocnictwo wystawione było imiennie dla kardynała Filippiego.

- To prawda.

- A zatem ksiądz biskup nie dysponuje żadnymi szczególnymi uprawnieniami.

- Nie dysponuję — powiedział biskup Jimenez. — I nie będą one potrzebne.

- Co ksiądz przez to rozumie?

- Tylko to, że wczoraj po południu kardynał Filippi w naszej obecności wydał stosowny dekret o usunięciu Waszej Ekscelencji ze stanowiska administratora. Prawdziwość jego podpisu została potwierdzona przez nas wszystkich na piśmie, tak, na wszelki wypadek. Również wczoraj po południu Franciszek Piotrowski przyjął w kaplicy święcenia diakonatu,

prezbiteratu i episkopatu i został mianowany nowym administratorem Terranovy. Ta zbrodnia była niepotrzebna.

Biskup Schwede chciał coś powiedzieć, ale zrobił się cały szary na twarzy, posiniały mu wargi i nagle runął twarzą na biurko.

- Mam nadzieję, że szybko będzie mógł stanąć przed sądem — powiedział biskup Laurentini, kiedy pogotowie w towarzystwie policji odjechało z biskupem Schwedem, który zdążył już odzyskać przytomność.

To tylko szok — powiedział ksiądz Horvath. — Mimo wszystko chyba nie zdążymy już wysłuchać wyroku.

Na pewno nie, chociaż sprawa będzie prosta, bo przecież już się przyznał.

- Biedny Filippi — westchnął Jimenez. — Ostrzegalem go, żeby zgodził się na dyskretną ochronę, ale był taki uparty. Czuł, że Schwede nie podda się tak łatwo, dlatego przyspieszył święcenia Piotrowskiego i przygotował dekret. Nie sądził jednak, że zostanie zamordowany. Można by przewieźć ciało na Ziemię, ale pochowamy go tutaj, na Terranovie, której złożył ofiarę ze swojego życia. Miejmy nadzieję, że nie pójdzie ona na marne.

- Będę się starał, żeby nie poszła na marne - uśmiechnął się skromnie nowy administrator. W tej chwili wyglądał jeszcze młodziej niż przedtem. - Czy na Ziemi, czy w kosmosie zawsze niech wypełnia się wola Boża.



Logos (fragmenty)

*Dorośli nie są skończonym produktem wychowawczym
I. Majewska-Opielka, Logodydaktyka. Droga rozwoju*

Klara popatrzyła na swoje rozdygotane dłonie. Z trudem chwyciła nimi myszkę i wtopiła paznokcie w jej chłodną, plastikową powierzchnię. Jej palce z wdzięcznością przyjęły stałość materii.

Przez chwilę próbowała koncentrować się na życiu klasy VI. Niektórzy jedli jeszcze kanapki, jakaś grupka rozmawiała, żywiłowo przy tym gestykulując. Julek znowu wymyślał opowiadanie, którego bohaterami byli jego koledzy. Do jej uszu dolatywały strzępki ich imion -aś,-gna, - te-. Klara naprawdę próbowała go słuchać, ale mimo chęci z trudem rozpoznawała pojedyncze sylaby. Wydawało jej się, że język polski jest pełen tajemnic. To wywołało w niej jeszcze większą panikę, najchętniej schowałaby się pod ziemią. Spuściła wzrok i jak małe dziecko udawała, że jej nie ma. Przecież ona ich nie widzi. Myślała naiwnie. Oni też więc mnie nie widzą. Nie miała jednak ani odwagi, ani ochoty na zatkanie uszu. Dźwięki w klasie z minuty na minutę rosły, aż w końcu Klara zdobyła się na podniesienie głowy. Niesłychane. Siedziała tu co najmniej od pięciu minut, a jeszcze nikt jej nie zauważył! Nie, przecież nie chciała tak poprowadzić lekcji. Najwyraźniej nie była teraz sobą.

W końcu uruchomiła dziennik, załogowała się na stronie z multimedialnym podręcznikiem i chociaż tekst знаła już chyba na pamięć, zaczęła ponownie przebiegać po nim

wzrokiem. Dawała sobie i im ostatnią minutę. Podświadomie odliczała do sześćdziesięciu.

Klaro?

A w klasie robiło się coraz ciszej. Najwidoczniej część osób zauważyła jej pojawienie się, dawała wyraźne sygnał innym, jednak Klara nie miała jeszcze siły, aby to sprawdzić. Jej oczy tkwiły w monitorze.

Porozmawiaj ze mną.

Opowiedz, co się wydarzyło się w twoim życiu.

Klara z niepokojem rozejrzała się po sali. Wpatrywała się w uczniowskie ławki, na których pomimo braku jej komendy już gromadzono podręczniki i zeszyty. Lekcja -czy Klara tego na pewno chciała, czy nie - właśnie się zaczynała.

Powiedz coś!

Wiedziała, że ich usta milczały. To była dobra klasa. Już czekali zaciekawieni, co będzie dalej. - Przepraszam - wybąkała cicho. - Źle się czuję - dodała na swoje usprawiedliwienie i jak nigdy bez podania celu i kryteriów sukcesu odtworzyła z multipodręcznika artykuł, ponownie śledząc go wzrokiem. Nie chciała jeszcze patrzeć na nich. Artykuł o anoreksji wydawał jej się zbyt osobisty. Przez chwilę dyskretnie zatkała uszy, nie spuszczając jednak wzroku z tekstu na monitorze. Wiedziała, że ten temat jest ważny, dlatego pomimo wewnętrznych oporów postanowiła go poruszyć.

Opowiedz im wszystko! Ze szczegółami! Niech wiedzą!

Nie była pewna, co mówić. Powracały negatywne obrazy z przeszłości. Spojrzała na konspekt lekcji, który krok po kroku miał pomagać jej w sprawnym przeprowadzeniu zajęć. Przecież sarna go napisała!



Zostaw go! Nakazuję ci! Zostaw!

Przemyślała wszystko, ale teraz w żaden sposób nie mogła wyobrazić sobie, że zaczyna od analizy artykułu, pomijając własne doświadczenia.

(...)

Klara po dzwonku wkroczyła pewnie do klasy i od razu spokojnym i mocnym głosem rozpoczęła swój monolog:

- Pragnęłam być dziełem sztuki. Wyobrażacie sobie tę naiwność? Już w dorosłym życiu przeczytałam o mężczyźnie, który w ten sposób patrzył na ludzi - jak na ciała, które można dowolnie i bez konsekwencji przerabiać. Wtedy nie wiedziałam, że może się to źle skończyć...

Dlaczego przystajesz?! Mów!

- Podobnie jak bohaterka artykułu - pamiętacie Matyldę? Podobnie jak ona chciałam się odchudzić, aby być piękniejsza. Uważałam, że mogę w tym trudnym dla mnie czasie dorastania zyskać chociaż panowanie nad własnym ciałem. Nic bardziej mylnego – im więcej o nim myślałam, tym bardziej wymykało się spod mojej kontroli.

Tak, stanowczo idź tym tropem, opowiadaj coraz więcej! Ze szczegółami! Dobra dziewczynka.

Miałam coraz mniej sił. Nie chcę wam jednak o tym szczegółowo opowiadać. Dodam tylko, że pewna osoba spytała się mnie: *Biegasz jeszcze?* Z trudnością się uśmiechnęłam, chociaż miałam wtedy ochotę płakać. Jak miałam biegać, skoro z problemami przechodziłam z pokoju do łazienki? Nie pamiętam dokładnie, ale chyba po tym pytaniu zdałam sobie sprawę z tego, że tracę coraz więcej siebie...Postanowiłam więc ponownie o sobie zawalczyć! Walka z anoreksją jest bardzo

trudna, tak jak każda walka z uzależnieniem. Trzeba być ciągle czujnym. Niektórzy mówią, że mam silny charakter. W każdym razie się staram... Tak, pracuję nad własnym charakterem.

- Dlaczego pracować, jeśli już pani go ma? - rzeczowe, pytanie Julka było dla Klary wyraźnym sygnałem, aby wrócić do tematu zajęć.

Bo nic nie jest nam dane raz na zawsze! - Klara niemal krzyknęła, wyrывая się z resztek osaczających ją wspomnień. Teraz nie były najważniejsze. To, co powiedziała, powinno im wystarczyć do dalszej pracy.

Za niespełna trzydzieści minut miał zadzwonić dzwonek. Postanowiła się teraz pospieszyć, aby wykonać wszystko zgodnie z planem.

Co robisz? Przestań! Nakazuję ci, przestań!

Energicznie podeszła do biurka i wypięgnowanymi, szczupłymi dłońmi z paznokciami o barwach tęczy pewnie dotknęła myszki. Powiększyła fragmenty artykułu i włączyła rzutnik aby wszyscy mogli zobaczyć zdania, które chciała poddać dodatkowej analizie. Usiadła, z gracją poprawiając kwiecistą spódnicę, i jeszcze raz przeczytała fragmenty artykułu. Potem już zgodnie z planem przedstawiła cel lekcji.

Nie można nie jeść. Do tego zachęca autor artykułu. Jakie jeszcze postulaty wynikają z tekstu? Czego możemy się z niego nauczyć?

Klara rozejrzała się po klasie. Wiedziała, że osiągnęła swój cel - początkową wypowiedzią zaangażowała ich w pracę nad tekstem, który jest ważny. *Zastanówcie się, dlaczego uczyście swojego przedmiotu.* Klara nie mogła rozstać się z niedawno usłyszanym zdaniem. Uznała je za szczególnie istotne dla siebie - debiutantki w roli nauczyciela. Dlaczego uczyć języka polskiego?

Właśnie znalazła odpowiedź. Jeszcze raz przyjrzała się tekstowi i uczniom, którzy tylko czekali na sygnał do dyskusji. Artykuł i słowa Klary stały się dla nich „zahaczką”, przeczytane zdania zaczęły żyć w ich świadomości i mobilizować do dalszego działania. Klara wiedziała, że powinna pozwolić im już przejąć tę lekcję. Podzieliła ich na grupy, w których zgodnie ze wskazówkami omówili, czego dotyczy tekst i jaki jest jego cel. Zapisali postulaty wynikające z artykułu oraz przedyskutowali, jak można radzić sobie z problemami, szczególnie wieku dorastania. Należało tylko podsumować zajęcia.

Klaro!

Napiszcie, proszę, co szczególnie zapamiętaliście z tych dwóch lekcji języka polskiego. Alarmu przeciwpożarowego nie opisujemy - mrugnęła do nich porozumiewawczo. - Na koniec chętni przeczytają swoje wypowiedzi.

Pamiętasz mnie? Odpowiedz mi, proszę!

Przepraszam, zapomniałabym o najważniejszym. Dziękuję **wam** za te lekcje. Świetnie pracowaliście - Klara lekko ściszyła głos, wypowiadając ostatnie zdanie. Nie przywykła jeszcze do obdarowywania pochwałami, jednak bardzo pragnęła tego się nauczyć.

Klaro?!

Strumień ognia (fragmenty)

Marek, student piątego roku politechniki cieszącej się sławą jednej z najlepszych uczelni technicznych w kraju przyglądał się z radosnym uniesieniem swojemu dziełu. Rozpierała go w pełni uzasadniona duma. Ponad rok temu stworzył w opuszczonym garażu nieopodal swojego domu prowizoryczne laboratorium i aż do tej pory spędzał w nim wszystkie wolne chwile, intensywnie pracując. Wyłączył się w tym czasie z życia towarzyskiego, nie chadzał do kin ani na dyskoteki, obecność na zajęciach ograniczył do minimum niezbędnego, żeby nie stracić statusu studenta. I oto teraz ten kilkunastomiesięczny wysiłek został uwieńczony sukcesem. W tym walcowatym przedmiocie, tylko trochę większym od tradycyjnego paluszka AA zamknięta jest moc, której nie powstydzilaby się nawet całkiem duża elektrownia. Szkoda tylko, że nie da się takich cudeniek wdrożyć do seryjnej produkcji. Wtedy można by w krótkim czasie prześcignąć wielkością majątku nawet Rockefellera seniora, uważanego dotąd za najbogatszego człowieka wszechczasów. Niestety, surowce użyte do wytworzenia tej niezwyklej baterijki są tak rzadkie i tak trudno dostępne, że w skali świata uda się wytworzyć ich najwyżej kilkadziesiąt sztuk. Marek zdobywał potrzebne składniki z wielkim poświęceniem i nie zawsze legalnie, dlatego prace nad swoim wynalazkiem prowadził w ścisłej tajemnicy, nikogo nie prosząc o pomoc.

Świadom unikatowego charakteru swojego dzieła młody wynalazca uznał, że nie można wykorzystać go w sposób banalny, na przykład do poruszania jakichś maszyn w fabryce



czy dużych i ciężkich pojazdów. Znalazł dla stworzonego przez siebie źródła energii jedno zastosowanie, w branży, w której nikt nie liczy się z kosztami i nie prowadzi oceny wydatków pod kątem ich opłacalności. Będzie potrzebował jeszcze kilku tygodni, żeby skonstruować prototyp takiego urządzenia, ale to już drobiazg w porównaniu z czasem, jaki poświęcił pracom nad samą baterią. Do wakacji wszystko powinno być gotowe. Jeśli nie wynikną jakieś niespodziewane przeszkody to koniec bieżącego roku powinien świętować może nie jak Rockefeller, ale na pewno jako jeden z najbogatszych ludzi w tym kraju.

Pierwszy egzemplarz narzędzia zasilanego superbaterią był gotowy na początku czerwca. Przyszedł czas, żeby go przetestować. Marek czuł pewien moralny opór przed wypróbowaniem swojego wynalazku dokładnie w taki sposób, w jaki miał być później używany. Uznał jednak, że skoro ma mieć całkowitą pewność co do jego skuteczności, musi ten opór przełamać. Cóż, nie takie rzeczy robiono dla dobra nauki. Trzeba tylko wybrać odpowiedni obiekt, żeby strata była jak najmniejsza. Na wykonanie zamierzonego eksperymentu postanowił przeznaczyć jutrzejsze przedpołudnie.

*

Zyga uniósł powieki i natychmiast przymknął je z powrotem porażony blaskiem słońca, które w czerwcu, o tej porze dnia było już wysoko na niebie. Odwrócił się nieco na bok i teraz już bez przeszkód otworzył oczy. Dzień zapowiadał się gorący i suchy. To nie najlepsza wiadomość. Pić się będzie chciało cholernie, a zbieranie puszek, złomu i makulatury też stanie się wyjątkowo męczące. Jednak ogólnie lato to dobry czas dla ludzi jego pokroju. Spać można byle gdzie, nie trzeba się chronić przed zimmem, łatwiej też o puszki po piwie, bo

amatorzy chmielowego trunku częściej opróżniają je na świeżym powietrzu.

Bez pośpiechu zwał się z ławki, która minionej nocy posłużyła mu za miejsce noclegu i podszedł do pobliskich krzaków, żeby załatwić poranną toaletę. Nie zwrócił uwagi na przechodzącego alejką młodego człowieka ubranego w ciemny, luźny T-shirt i krótkie plażowe spodnie. Nie dostrzegł też, że ów młodzieniec zatrzymał się na moment na wysokości jego ławki i sięgnął po coś do reklamówki trzymanej w lewej ręce. Nagle poczuł, że ogarnia go fala niesamowitego gorąca, o wiele większego, niż to, które dawały słoneczne promienie. Miał wrażenie, że znalazł się w samym środku rozpalonego pieca. Próbował wydobyć z siebie jakiś dźwięk, ale nie dał rady. W chwilę później ogarnęła go ciemność i przestał czuć cokolwiek. Nie zdążył nawet pomyśleć, że w tym momencie umiera.

(...)

Sądzę, że pięć milionów nie będzie nazbyt wygórowaną ceną - zaczął z pewnością siebie w głosie - pracowałem nad tym bardzo długo. Szczególnie ta bateria jest unikatowa. Nikt na świecie nie wymyślił podobnego źródła energii, a bez niej całe to urządzenie jest właściwie bezużyteczne. Oczywiście jestem otwarty na negocjacje, ale wydaje mi się...

W porządku - przerwał mu minister - doceniam walory pańskiego wynalazku i zaproponowaną przez pana kwotę uznaję za rozsądną. Uważam, że nie ma powodu zwlekać z formalnościami. Zaraz zlecę sekretarce przygotowanie stosownej umowy. Proszę tylko podać numer swojego konta bankowego, żeby wydział finansowy przelał należne panu pieniądze.



Kilkanaście minut później Marek drżącą ze wzruszenia ręką podpisywał komplet położonych przed nim dokumentów. Minister już wcześniej złożył na nich swój autograf i ostemplował imienną oraz urzędową pieczęcią. To był już ostatni akt spotkania. Szczęśliwy wynalazca schował do walizeczki przeznaczone dla niego kopie podpisanych przed chwilą papierów i wymieniał pożegnalne uprzejmości z gospodarzem tego miejsca oraz towarzyszącym mu naukowcem w mundurze. Swoje dzieło, wraz z całym opisem zostawił oczywiście jego nabywcom. Od tej pory jest ono własnością Ministerstwa Obrony i będzie służyć bezpieczeństwu kraju, a on ma za to sowite wynagrodzenie.

No cóż - zwrócił się minister do pułkownika, gdy za Markiem zamknęły się drzwi - sędzę, że powinniśmy teraz wypróbować działanie tego cudu. Jak to powiedział w pewnym momencie ten gówniarz? „W sferze obronności trzeba niekiedy podejmować działania nie zawsze zgodne z literą prawa”. Chyba nie od rzeczy będzie przekonać go, że miał rację?

Zgadzam się w zupełności - odpowiedział pułkownik. Wziął z biurka „strumień ognia” pozostawiony przez Marka i podszedł do okna.

Okno gabinetu ministra wychodziło na obszerny dziedziniec ograniczony z trzech stron skrzydłami gmachu ministerstwa, zaś z czwartej ozdobnym, metaloplastycznym parkanem odgradzającym całą posesję od ruchliwej ulicy. Każdy wchodzący i wychodzący z budynku musiał przejść przez ten dziedziniec.

Marek opuszczał gmach resortu obrony wręcz nieprzytomny ze szczęścia. Nie przypuszczał, że pójdzie aż tak łatwo. Był przygotowany na długie negocjacje, zwłaszcza

w sprawie ceny. Spodziewał się utargować mniej niż połowę tego, co zaproponował na początku. Tymczasem minister zgodził się natychmiast na jego warunki. Nie miał żadnych zastrzeżeń. Widocznie bardzo było mu potrzebne takie urządzenie. „Trafiłem w dziesiątkę, przychodząc właśnie tutaj”, myślał z satysfakcją. W wyobraźni snuł już rozmaite wizje zagospodarowania tej olbrzymiej sumy, która wkrótce zasili jego konto, gdy nagle poczuł, że ogarnia go fala niesamowitego gorąca, jakby znalazł się w samym środku rozpalonego pieca. „Sukinsyny!” To była ostatnia myśl, która przemknęła przez jego głowę.

Wykaz uczestników

Lp.	Nazwisko i imię	Miejscowość	Godło
1	Bodzioch Wiktoria	Małogoszcz	LULIRAJ
2	Borowski Andrzej	Siedlce	LOTOS
3.	Celińska Patrycja	Popławy- Rogale	MUZA
4.	Cybulska Magdalena	Łódź	KUMAK
5	Charmuszko Tadeusz	Suwałki	GNIEWOSZ,
6	Czarnecki Marek	Ługi Wielkie	AVIDA D.
7	Czyżkowska Małgorzata	Krzywica	PESYMISTKA
8	Dworzyński Piotr	Cegłów	DWORZYN
9	Dryl Magdalena	Katowice	SILESIANNA
10	Dejnecki Tadeusz	Płock	KOŃ
11	Gołębiowska Wanda	Płock	BEZCHMURZE
12	Guz Monika	Bezwola	BEZWOLA
13	Jakubowski Bronisław	Ząbki	DYM
14	Jastrzębska Izabela	Skórzec	Ixx
15	Kokot Anna	Przeźmierowo	HELIKON
16	Kobylińska Anna Maria	Warszawa	DALIA
17	Liczmonik Andrzej	Wrocław	OGIEŃ
18	Laszczyk Justyna Paulina	Ruchenka	MENTORKA
19	Magierska Agnieszka	Siedlce	ANNABELLE
20	Nowicki Bogdan	Zabrze	KAMA
21	Ostaszewski Maciej	Kosów Lacki	STRÓŻ
22	Polak Katarzyna Wiktoria	Kraków	LISICA

23	Piliszewska Anna	Wieliczka	PIEŚNI KALEKUJĄCE, FORMALINA
24	Plaskowska Anna	Mińsk Mazowiecki	MOTYL
25	Rybak Radosław	Węgrów	RR.
26	Radzikowski Karol	Modrzew	KAR
27	Radzikowski Daniel	Modrzew	RAD
28	Sergiej Przemysław	Łukowisko	MERLIN
29	Szomko Henryk	Siedlce	STAROŚĆ
30	Sysik Martyna	Trzciniec	NIEBIESKI DELFINEK
31	Węgrzynek Bożena	Wilga	BO
32	Wierzbicki Adam Bolesław	Dłużek	OCZY BEATRYCZE

Spis treści

Wacław Oszajca	
Przez chwilę szczęśliwi (<i>Wstęp</i>)	5
Anna Piliszewska - I nagroda	
Babka Amazonia	13
Agnieszka Magierska - II nagroda	
Świąteczna kartka	19
Magdalena Cybulska - II nagroda	
*** (<i>Lubię fotografować...</i>).....	27
*** (<i>Wdrapywali się powoli...</i>).....	28
*** (<i>Nitka opowieści...</i>).....	29
Zduńska Wola	30
Pamięć.....	31
Katarzyna Wiktorja Polak - I nagroda	
ranna lisica, strzał	32
ranna lisica, wcielenie	33
ranna lisica, szept pierwotnej ciemności	34
ranna lisica, gałęzie	35
ranna lisica, pokot.....	36
Anna Piliszewska - II nagroda	
Ballada o chromym grajku	37
Księżyc.....	38
Pieśń o świętym Jerzym	40
Pieśń o śmierci dziada.....	42
Pieśń o wojnie trojańskiej	46
Bogdan Nowicki - III nagroda	
Oberwanie	50
Monologion	51
Amnestia	52
Fala.....	53
Agnostyk.....	54
Justyna Paulina Laszczyk - nagroda	
*** (<i>dobrze wiesz, że...</i>).....	55
Gdybym?	57
Porządki	59
Cztery	61
Dlaczego nie?	62

Karol Radzikowski - wyróżnienie

Życie.....	64
Nadzieja	65
Miłość.....	66
Wybór	67
Szczęście.....	68

Wiktoria Bodzioch - wyróżnienie

Przyjaciel.....	69
Osąd	70
Presja	71
Wybaczenie	72
Podróż.....	73

Tadeusz Charmuszko

Lenistwo.....	74
---------------	----

Piotr Dworzyński

*** (<i>Czas, był sobie...</i>).....	75
--	----

Tadeusz Dejnecki

Współczesny Ikar	76
------------------------	----

Adam Bolesław Wierzbicki

Ogonek po nostalgii	77
---------------------------	----

Radosław Rybak

O czynach.....	78
----------------	----

Maciej Ostaszewski

Cierpienie.....	79
-----------------	----

Wanda Gołębowska

Kościół w Wilnie	80
------------------------	----

Anna Kokot

Trefny sztukmistrz iluzji (fragmenty).....	81
--	----

Bronisław Krzysztof Jakubowski

Wizytacja (fragmenty)	87
-----------------------------	----

Anna Plaskowska

Logos (fragmenty)	95
-------------------------	----

Andrzej Liczmonik

Strumień ognia (fragmenty)	100
----------------------------------	-----